

Maria Konopnicka

"Obrazki więzienne"

I. PODŁUG KSIĘGI

Był dzień jesienny, cały złoty i modry od gasnącego słońca i cichej pogody.

Około trzeciej po południu przed gmachem więziennym zatrzymał się wóz z kapustą.

- Bra-ma! Bra-ma!... - krzyknął przeciągle parobek siedzący na nim w czerwonym lejbiku i samodziałowym spencerze.

Nikt się jednak z otwieraniem bramy nie kwapił.

- Bra-ma!... - krzyknął znów parobek i zaklął, bo mu się konie kręcić zaczynały.

Chwilę trwała cisza. Nikt bramy nie otwierał.

- Nada głośniej! - przemówił flegmatycznie żołdat stojący przed budką na warcie.

- Bra-ma!... - wrzasnął parobek z całej swojej siły. - A prr!... A gdzie!... - dodał ściągając batem lejcową, która mu się zaplątała w półszorkach - A żeby cię'...

Zeskoczył po orczyku na ziemię. Okręcił lejce na kłonicy i pięścią jak taranem zaczął walić w bramę.

Rozległo się wielkie echo po sklepionym wnętrzu, przez długą wszakże chwilę nikt nie przybywał. Zaczłapały wreszcie jakieś ciężkie kroki, a razem ze zgrzytem klucza obracanego w zamku dał się słyszeć głos cierpki i gniewliwy:

- Czego walisz? Czego walisz? Czego próżno pazury obijasz? Jak mam otworzyć, to i bez twego walenia otworzę!

- A niechże was, z takim otwieraniem! A prr!... A prr!... - wołał parobek biegnąc znów do koni, które w bok z wozem skręciły.

Chwycił lejce i wywijając batem nad końmi wjechał w bramę, której wierzeje z łoskotem uderzyły o ściany, a z bramy w podwórze do połowy wożą. Nie mógł dalej, bo zawały mu w poprzek drogę skrzynie od kartofli. Zaopatrywano się na zimę i to spowodowało pewne zamieszanie w cichym zazwyczaj dziedzińcu więziennym. Zamieszanie to żywo zajmowało aresztantów wypuszczonych właśnie do ogródka na popołudniową przechadzkę. Właściwie mówiąc nie była to przechadzka, ale raczej kręcenie się w kółko i popychanie wzajemne, gdyż miejsca bardzo mało, a więźniów stu przeszło. To, co się nazywało ogródkiem, także niewiele do ogrodu było podobnym. W jednym z kątów podwórza, obudowanego dokoła murami więziennego gmachu, niskie drewniane sztachety grodziły szczupły kawałek gruntu, podzielony dwiema krzyżującymi się uliczkami na cztery równe prostokąty. Najdłuższa, załamana w rogach ogródka drożyna biegła popod sztachetami do furtki, wprost której w przeciwnym kącie stała tak zwana altana, rodzaj okrągłej, przejrzystej, z wąskich deszczulek zbitej szopy, z czterema wewnątrz ławkami i podtrzymującym krokwie słupem.

Trochę młodocianych drzewek trzęsło w słońcu ostatkiem złotych liści, a choć nie było najłżejszego wiatru, liście te padały cicho na zarosłe zielskiem rabaty i ścieżki, twardo stopami więźniów ubite. Przy zbiegu prostokątów stało parę krzaków bladoliliowych astrów, które zdawały się obracać gwiaździste swe oczy za tymi nędznymi postaciami, co się po uliczkach snuły.

Aresztanci chodzili po dwóch, po trzech, na pięty sobie niemal następując- Większa ich część miała piersi zapadłe i pochylone grzbiety, na których siwe więzienne kapoty wisiały jakby na kołkach.

Najcharakterystyczniejszą cechą więźnia jest jego postawa. Przy pewnej wprawie

można po niej od pierwszego rzutu oka poznać długość odcierpianej kary, tak właśnie jak się po zębach wiek koni poznaje.

Jednorocznicy różnią się pomiędzy sobą znacznie chodem, ruchem rąk i ramion, sposobem trzymania głowy i noszenia siwego kubraka, sztywnością szyi, nawet trybem wykręcania się na zawrotach drogi.

Drugorocznicy mają wszyscy nagięte grzbiety i kark, jakby wylażący naprzód z kołnierza. Różnice ruchów zacierają się pomiędzy nimi; najsilniejsi tylko zachowują właściwą sobie postawę jeszcze w trzecim roku. Po tym terminie wszyscy się upodabiają. Człowiek przestaje istnieć jako indywidualność, a zamienia się w część tej szarej, bezbarwnej, bezkształtnej masy, która się nazywa ludnością więzienną. Nogi więźnia stają się wtedy kabłąkowate i wątłe; ustawione przy sobie stopy rozwierają się pod kątem coraz prostszym; naprzód wygięte kolana drżą nieraz widocznie, chód bywa ciężki, wlokący się, ruchy niedołożne, powolne, a ręce wiszą po obu bokach ciała jakby nadmiernie wydłużone i wyruszone ze stawów. Rzecz dziwna, przeobrażeniu temu podlegają głównie mężczyźni. Kobiety wszystkie prawie zachowują nienaruszoną odrębność swoją przez długie lata i dopiero najstarsze, po wielokrotnych powrotach dogasające tu aresztantki ulegają niwelującemu wpływowi więziennego życia.

Po ruchach i postawie idzie cera. Ta w pierwszym roku bywa blada, śniada, krwista nawet, podlega momentalnym zmianom zabarwienia i w ogóle ma silniejsze, cieplejsze tony. W drugim roku więdnie i żółknie bardzo szybko, skóra wątłeje i nabiera pergaminowej suchości i martwoty; w trzecim rzuca się na nią jakiś cień zielonkawy, zwłaszcza około uszu, ust i oczu, niekiedy barwa żółta, oleista, cień ten przemaga, szczególnie na skroniach i czole, które się nieraz tak świeci, jakby napuszczone tłuszczem. W dalszych latach twarz więźnia staje się rozmiękłą, przybiera barwę ziemistą i jest wybornym dokumentem do słów Genezy opiewających, iż człowiek ulepiony został z gliny i z mułu ziemi. Zmianom tym podlega większość kobiet na równi z mężczyznami.

Trzeciorzędą w charakterystyce zewnętrznej więźnia cechą jest wyraz oczu, spojrzenie. U pierwszorocznych bywa ono zwykle ruchliwe, latające, niespokojne, gorączkowe. Zapalają się w nim i gasną blaski niespodziane, iskry przelotnych wzruszeń, obaw, pomysłów, zalegają je cienie nagle, głębokie, z siwych czyniąc źrenice zielone, z modrych - czarne. W drugim roku źrenica więźnia blednie, mąci się, zeszkliwia i upodabnia do stojącej w błotnym dole wody. W trzecim matowość spojrzenia wzrasta z dniem każdym, oczy kołowacieją i jakby zaokrąglały się w orbitach, a z głębi ich wyziera ogólne zniedołożnienie albo zwierzęca złośliwość. Z biegiem czasu rozwija się to aż do idiotyzmu w jednym kierunku, aż do prawdziwie małpiej przebiegłości w drugim. Idiotyczne spojrzenie godzi się bardzo dobrze ze spleśniałą jakby cerą więźnia i zwykle z nią chodzi w parze. Bywają wszakże wyjątki, a kiedy w gliniastej, rozmiękłej twarzy zagorzeją źrenice posepnym, czerwonym ogniem, zjawisko to bywa straszne i zwykle się kończy jakąś katastrofą.

Takim właśnie spojrzeniem pałającym patrzył w otwartą, nieco widną z jednego kąta w ogródku bramę młody stosunkowo więzień, którego wszakże postawa i cera zdradzały dawnego już aresztanta.

Na oko widać było, że siedzi już najmniej cztery, pięć lat może. Musiała to być jednak organizacja wyjątkowo silna, gdyż prosty dotąd i sztywny kark unosił wysoko nad inne jego ogoloną i czarniawą głowę.

W tej chwili więzień był pochylony nieco ku sztachetom; szeroko rozwarte nozdrza zdawały się wietrzyć powiew ulicy z niepohamowaną żądzą, na szyi pulsowały

grube, napięte żyły, a w półotwartych ustach widać było zęby drobne, ostre i niezwykle białe. Jedną z rąk wsunął za kubrak i koszulę na pierś, jakby chciał poczuć ciało żywe albo też przygnieść garścią serce wstrząsane silnym, głuchym biciem.

Drugą rękę wparł między sztachety, aby się łatwiej utrzymać na kabłąkowatych, widocznie w tej chwili drżących nogach.

Baczniejszy spostrzegacz poznałby z łatwością, że więzień przebywa ten punkt krytyczny, w którym cierpienie, jeśli nie przełamało woli i energii, staje się na dłużej wprost nieznośnym, niemożliwym. Potąd - a nie dalej - krzyczy coś w ludzkiej istocie, która doszła do takiego krytycznego punktu; a prawodawstwo kryminalne nigdy dość szeroko uwzględnić, nigdy dość bacznie rozpoznać nie może tego momentu psychicznego.

Oparty o sztachety i wychylony z jakąś drapieżną poządliwością na podwórze więzień znany był powszechnie pod nazwą Cygana.

Cyganem zwali go towarzysze, strażnicy, kancelaria, nawet w księdze, gdzie zapisywano zarobki, figurował pod tym nazwiskiem, z czasem zapomniano zgoła, czy miał jakie inne, a i on sam zdawał się nie pamiętać o tym. Ponieważ stanął, ci, co szli obok i za nim, stanęli także. Powyciągały się szyje, powznosiły ramiona, jedni się wspinali, drudzy szturchali stojących przed sobą, inni jeszcze przestępowali z nogi na nogę w miejscu, jak to czynią zamknięte w klatkach zwierzęta- Spojrzenia skupiały się w dwóch punktach. Jedni patrzyli na wóz, konie i kapustę, drudzy na niańkę od pana sekretarza, która z uśpionym na kolanach dzieckiem siedziała w progu oficyny kołysząc się z boku na bok i nucąc bezbarwnym głosem jedną z tych melodii, którym katarynki szeroką popularność nadały. Tuż przy niej stała z szaflikiem w ręku Janowa, kucharka, i także na wóz patrzyła. Nie opodal bawił się chłopak stróża. Kapusta była w tym roku niezwykle dorodna. Wielkie jej głowy, jedne czubate, podłużne, zielonkawe, z lekko postrzępionymi brzegami zdawały się pękać i otwierać jak tulipanowe kielichy, nie mogąc powstrzymać naporu rozrosłych ośrodków swoich; inne lśniące, białe, płaskie, szczelnie srebrzyste żyłkowanym liściem obciążone, leżały na wozie ważne, ciężkie, świecąc z dala jak śnieżne kłęby i skrzypiąc jędrnie za każdym dotknięciem. Pomiędzy nimi tkwiły tu i ówdzie na wysoko obnażonych głąbach lekkie i puste szalki z brunatno poplamioną powierzchnią, niewiele co warte i bez targu, do pełnych kop dodane.

Ci, co patrzyli na niańkę, nie mniej mieli piękny widok. Dziewczyna była młodą, rosłą, a jej rozkwitłe kształty uwydatniała lekka perkalowa spódnica i takiż kaftan. Ciężki żółtawy warkocz spadał jej nisko na kark, a mała różowa chusteczka nie pokrywała białej, lekko słońcem ozłoconej szyi. Rytmiczny ruch, jakim się kołysała z boku na bok, dodawał jej jakby sennego wdziału.

Cygan nie patrzył wszakże ani na niańkę, ani na kapustę. Gorejące jego oczy, zrazu w czeluściach bramy utkwione, obiegały teraz podwórze, oblatywały drzwi i okna w wewnętrznych murach więzienia, mierzyły odległość furtki od skrzyni i skrzyni od wożą, wreszcie wpiły się z jakąś dziką przenikliwością w twarz strażnika, który, bokiem do więźniów zwrócony, stał przed altaną i prowadził z kimś spokojną gawędę, brząkając od czasu do czasu kluczami na znak obecności i czujności swojej.

Tymczasem w bramę wjechał drugi wóz z kapustą.

- Jechać tam!... Jechać dalej!... - rozległo się wołanie.

Parobek w czerwonym lejbiku, który dopiero czwartą kopę liczył, odwrócił się i huknął:

- A gdzie ci to pojedę?... Na łeb?... Nie widzisz, że skrzynia? Ślepyś?...

- Prrr... prrr... - dało się słyszeć w samym sklepieniu bramy, a wóz zatrzymał się w połowie drogi tak, że mu tylko koła na ulicy pozostały.

Obaj parobcy zaczęli teraz hałaśliwie deliberować, jak wykręcić skrzynie, żeby wozy mogły w podwórze wjechać,

- O laboga! - przemówiła nagle Janowa - tak mi się coś w oczach migło jakby nasza świnia... A skocz no, Józek, do chlewiku, obacz. czy się maciora nie wywarła kędy... Ino duchem, na jednej nodze.

Chłopak w chwilę był z powrotem.

- Co się tam miała wyrzucić. Taka obzarta, że się ruchać nie może... Układła się w słomie i leży, a prosiaki przy niej jak pijawki wiszą.

- A tak mi się coś siwego migło między końmi, właśnie jakby świnia...

- Gdzie? - zapytała powolnym głosem niańka.

- A gdzie by? Akuratnie między końmi. O tu! - pokazywała Janowa stanawszy w pobliżu wąskiego przesmyku, jaki między skrzynia a wozem pozostał.

- Przywidziało się Janowej, i tyle - odrzekła niańka podejmując na nowo swoją jednostajną piosenkę.

- Ale!... Co mi się miało przewidzieć? Przecie człowiek nie pijany, jak Boga kocham, tak akuratnie między końmi coś siwego przeleciało... Pies nie pies, świnia nie świnia, żebym tak zdrowa była!

W tej chwili strażnik rzucił okiem i nie zobaczył górującej zwykle nad innymi czarniawej głowy Cygana.

- Cygan!... Gdzie Cygan?--- - wrzasnął przyskakując do wpółotwartej furtki.

Aresztanci spojrzeli po sobie. Cygana nie było.

- A to musi nie co, ino ten ladaco świsnął bez brame pod wozem - mówiła Janowa klasnąwszy w dłonie. - Jak mi Bóg miły, takom go widziała. Ino mi się mignął...

Jeszcze myślałam, że świnia.

- A żeby was najjaśniejsze!... - wrzasnął strażnik chwyciwszy się za głowę.

W podwórzu sądny dzień nastał. Aresztantów spędzono w jednej chwili w korytarze, pogoń za zbiegiem rzuciła się w ulicę.

- Łapaj!... Trzymaj!... - rozległo się najpierw z bliska, potem coraz dalej, dalej.

O sto kroków może od więzienia leżał siwy kubrak pod murem, nieco dalej leżała czapka.

Nie było teraz wątpliwości, w którą stronę uciekał Cygan. Jakoż w chwilę potem Filip, ojciec Józka, zobaczył Cygana, jak w koszuli i w hajdawerach leciał, jakby go wiatr unosił, ziemi ledwo dotykając stopami.

Okrzyknęła się pogoń ponownie, a zbieg pędził przed tym okrzykiem, jakby mu w dwoje tyle ręcości przybyło. Zła jego gwiazda trzymała go wszakże ciągle w prostej linii na oczach goniącym. Biegł jak strzała szybko i jak strzała wciąż prosto przed siebie. To go zgubiło.

Okrzyki goniących dościgały go coraz bliżej, a przestrzeń, która go od nich dzieliła, zmniejszała się co chwila.

Wtem padł, a choć się w tejże sekundzie niemal porwał z ziemi i znów pędził dalej, znać było, że siły jego bliskie były wyczerpania.

Biegł wszakże jeszcze chwilę, coraz wolniej, wolniej, nareszcie jakby sarn czując, że nie ujdzie - odwrócił się nagle i stanął twarzą w twarz przeciw pogoni.

Był straszny- Oczy jak pochodnie, twarz trupio ściągnięta, zęby wyszczerzone jakby do kęsania, na ustach nieco krwawej piany. Filip dopadł pierwszy. Chwycił

go Cygan za ozydła, zaszamotał nim i cisnął o bruk jakby powieź słomy. Za Filipem przypadli inni. Zbieg bronił się rozpaczliwie. Gryzł, darł, pięściami o łby grzmocił, kopał - był wściekły.

Aż go nasiedli w sześciu czy w siedmiu jak dzika, a obaliwszy na ziemię, zgnetli mu kolanami piersi, pokrwawili go, poszarpali na nim koszulę i tak zmordowali, że trzeba go było do więzienia na rękach nieść niby martwe brzemie, Kiedy się ocknął w ciemnej, cały drżący i mokry od wylanych na niego kubłów zimnej wody- zawołano go do kancelarii. Jeszcze wszakże pan nadzorca nie zdążył przysiąść i zapalić cygara, które miało mu służyć do umilenia przykrej konferencji, jeszcze je ślinił obracając w pulchnych palcach pomiędzy grubymi i pięknie zarysowanymi wargami, kiedy w progu stanęła pod przywództwem strażnika deputacja poważna, bo z samych recydywistów i najstarszych złodziei złożona. Dwóch posługaczy trzymało tymczasem pod pachy Cygana, który ustać na nogach nie mógł, chwiał się cały i co chwila ocierał pot z bladej jak chusta twarzy. Pan nadzorca zmarszczył czoło i wydawszy policzki patrzył ku drzwiom pytającym wzrokiem. Trzech z deputacji podstąpiło do zielonego stołu i pocałowało "wielmożnego" w rękę.

- A co to powiecie? - zapytał udobruchany tą oznaką pokory dygnitarz.

- A to dopraszamy się łaski wielmożnego pana - przemówił Wiewióra, przewodyr recydywistów, który już zęby zjadł na więziennym chlebie - co byśmy mogli Cygana sami bez się sądzić. Wszystkim on nam wstydu zadał i wszystkich przed oczami wielmożnego pana i ojca naszego w brudną koszulę oblókł. Nie będzie tera żadnej swobodności dla porządnego haresztanta i wszystko się skurczy. Dość już było ciężko (tu głośne sieknięcie pozostałych u drzwi deputatów), tera będzie jeszcze ciężej.

- O, co ciężko, to ciężko! - przerwał piskliwym głosem najbliżej stojący Żeglarek.

Drugie, jeszcze głośniejsze sieknięcie deputatów u progu.

- Tak my przyszli prosić i dopraszać się wielmożnego ojca i dobrodzieja, co byśmy mu karę sami wysadzili, wedle naszego zrozumienia i po sprawiedliwości...

- No - przemówił wahające pan nadzorca - dobrze to jest, ale cóż wy z nim myślicie zrobić?

-A zbić, wielmożny panie - odparł Wiewióra głosem szczerego przekonania o doskonałości tego środka. - Na takiego, wielmożny panie, gałgana, to nie ma jak bicie. A co on, wielmożny panie? To on pierwszy się tu popadł i będzie wszystkim zaproszenie oczów robił? Wielmożnego pana martwił? Ojca, matki nie szanował, więzienia nie szanował, to co na takiego jak nie bity?... On i porządnego bata niewart! Żeby jego choroba! Tfy!

Tu splunął mówca, a retoryczna ta figura pobudziła deputatów do nowych wzdychań u progu.

Pan nadzorca bębnił palcami po stole- Był on w położeniu arcydelikatnym. Z jednej strony uśmiechało mu się takie zakończenie tej niemiłej sprawy, z drugiej miał skrupuły co do legalności podobnego jej obrotu. Na szczęście przypomniał sobie, że czytał gdzieś niedawno, jako w Ameryce nieraz sami przestępcy wymierzają karę na swych towarzyszy. To go uspokoiło od razu. Owszem, nadało myślom jego bieg górny i wzniosły. Czuł się inicjatorem nowych idei w społeczeństwie, idei z Nowego Świata. Czuł się humanistą na wielką skalę. Wydał tedy świeżo ogolone policzki, co uwydatniło piękny jego podbródek, i odsapnął kilka razy z zupełnym zadowoleniem.

Cygan tymczasem pochylał głowę na piersi i przymknął zagasłe oczy. Wszystkie

muskęły jego bolesnej twarzy dręały. Zdawało się, że jest bliskim omdlenia.

- Dobrze to jest - powtórzył pan nadzorca - ale niechże kara nie będzie lżejszą od tej, jaką bym mu sam nazaczył.

Mówił to, aby coś powiedzieć. Przekonany był bowiem, że wydaje Cygana w ręce ciężkie i nieubłagane.

- Niech już wielmożny pan na nas się ubezpieczy. - Pokłonił się Wiewióra. - Już my go tam tak oporzędzimy, coby mu się odechciało na drugi raz. Już my go...

Nie skończył. Pan nadzorca podniósł się z fotela.

- Jakub! - zawołał na strażnika - wyprowadzić go im na górny korytarz- Niech i inni posłuchają dla swojej nauki. A potem do mnie tu do kancelarii, to mu sumienie roztrząsnę.

Jakub zwrócił się na lewo w tył, pacholki popchnęli Cygana, a deputacja przystąpiła do ucałowania ręki "wielmożnego", który teraz dopiero mógł swobodnie zapalić cygaro i przejrzeć dzienniki.

W chwilę potem na górnym korytarzu rozległ się krzyk ostry, przeciągły.

Jedną z najmilszych czynności pana nadzorcy było roztrząsanie sumień aresztanckich. Posiadał on cały zapas przemówień moralnych w wielkim religijnym i społecznym stylu, całą kopalnię przestroż wzruszających, cały skarbiec pięknie zaokrąglonych zdań i budujących maksym. Stanowiło to jego specjalność i przedmiot prawdziwego dyletantyzmu- A czynił to wszystko z natchnienia, bez uprzednich przygotowań, improwizował po prostu. Przy improwizacji takiej sam bywał niezmiernie wzruszony, a drżący z lekka głos jego i oczy, mgłą wilgotną zasze, pobudzały do skrucy wszystkich, którzy się już do winy przyznali.

Stąd uważany był za urzędnika prawdziwie użytecznego, a to uznanie zasług pobudzało go do nowych wysiłków krasomówczych.

Tym razem wszakże wymowa pana nadzorcy nie znalazła odpowiedniego zastosowania.

Cygan bowiem zaraz po egzekucji swojej stracił przytomność, a potem wpadł w taką gorączkę, że go jeszcze tej samej nocy do lazaretu przenieść musiano.

Leżał tydzień, leżał dwa tygodnie, pluł, kaszłał, kwękał, skarżył się, że go w piersiach, to w plecach kłuje, i wychudł strasznie. Zwlókl się nareszcie ze swego tapczana i pochyłony, zestarzały, więcej do cienia niż do człowieka podobny, pod numer poszedł. Ale tu pogorszyło mu się raptownie. Dostał dreszczów, gorączki, krew mu się ustami rzuciła, aż trzeciej coś nocy umarł nad ranem, nie obudziwszy ani jednym jękiem żadnego ze swoich sąsiadów.

Teraz dopiero zaczęto przebąkiwać, że Wiewióra zanadto mu "dołożył". Młodszy zwłaszcza, "frajery", których zwykle recydywiści we wzgardzie i poniewierce mają, burzyli się po kątach.

- Jużci to nie po katolicku tak człeka zbić, żeby go aż ubić - mówił jeden.

- Przecie go nie ubili na piękne...

- Nie ubili na piękne, ale w nim wszystkie wątpia het precz oberwali. To jakże miał żyć? Musiał umierać.

Tymczasem w kancelarii przygotowywano raport, jako taki a taki więzień na gorączkę czy też febrę umarł. Właśnie podyktował był pan nadzorca powyższe słowa pomocnikowi swemu, kiedy ten rzekł:

- Kiedyz mu się wyrok miał skończyć?

- Tak na pamięć nie można wiedzieć - odparł "wielmożny" - ale przeciez to wszystko podług księgi idzie. Jakub! podaj no księgę!

Podał Jakub czarno oprawny wolumin, a pan sekretarz przerzucać go zaczął.

- A to co? - zawołał nagle i podniósł wzrok na pana nadzorcę, wskazując palcem datę.

Pan nadzorca spojrział niedbale przez ramię. Spojrzął i raptem zerwawszy się z fotela utkwiał przerażone oczy w twarzy pana sekretarza. Chwilę trwało milczenie, podczas kiedy tych dwóch ludzi przenikało się wzajemnie wzrokiem.

- Tam do licha - zawołał wreszcie pan nadzorca zapomniawszy zupełnie o obecności Jakuba- - A toć się jemu wyrok skończył blisko na dwa tygodnie przed ową ucieczką...

Stał Jeszcze chwilę i patrzył osłupiały przed siebie.

- Diabli go wiedzieli! - wykrzyknął wreszcie rzucając się w fotel i nie było już więcej o tym mowy.

Przez parę wszakże następnych tygodni drzwi kancelarii nie zamykały się prawie. Od samego rana pukanie pod numerami.

- Czego tam?-pyta niecierpliwie strażnik.

- Otwierać no, otwierać! Muszę iść do kancelarii.

- A co tam? - pyta pan nadzorca wchodzącego aresztanta w towarzystwie strażnika.

- A to, proszę wielmożnego pana, przyszedłem się dowiedzieć wedle wyroku, bo może mi się już skończył.

- Cóż znowu! - mówił zmieszany „wielmożny” - przecież masz w wyroku dwa lata, a siedzisz dopiero półtora.

- Tak ci to niby jest, wielmożny panie, ale chciałbym wiedzieć dokumentnie według księgi...

Pan nadzorca przygryza czerwone, pełne wargi, żeby nie wybuchnąć.

Po chwili znowu ta sama historia. Za kwadrans - znowu. Dziewięciu, piętnastu, dwudziestu wali naraz we drzwi, wszyscy wołają strażnika, wszyscy chcą iść do kancelarii. Jakub biega od numeru do numeru, krzyczy, prosi, traci głowę, nareszcie najciekawszych prowadzi do kancelarii.

- Proszę wielmożnego pana, przyszliśmy się dowiedzieć wedle wyroków. bo może już się nam pokończyły...

- Idźcie do diabła z waszymi wyrokami! - krzyczy w ostatniej pasji pan nadzorca.

- A to człowiek nawet spokojnie odetchnąć nie może. -

Było to właśnie po obiedzie.

- Ale my chcieli zobaczyć księgę. Ja umiem czytać.

- I ja...

- I ja...

Pan nadzorca czuje się złamany. Każę Jakubowi podawać księgę, pokazuje palcem daty, tłumaczy. Aresztanci kręcą głowami z niedowierzaniem. Jeden z nich udaje, że czyta. Wychodzą wreszcie, aby powrócić jutro, pojutrze, za tydzień. O biedny Cyganie! To była twoja pomsta!

Autor: Maria Konopnicka

Tytuł: II. "JESZCZE JEDEN NUMER"

- A to? - zapytałam, kiedyśmy doszli do końca więziennego korytarza, gdzie w głębi widać było drzwi na klucz zamknięte.

- To - odrzekł zakołysawszy się lekko nadzorca - to jest jeszcze jeden numer.

Rozmowa miała miejsce za pierwszej bytności mojej w więzieniu, kiedym jeszcze nie wiedziała, że się tu o nic pytać nie należy

Co zobaczysz, usłyszysz, zauważysz, w powietrzu chwycisz - to twoje, ale daremnie byś pytał o cokolwiek. Nie dlatego, żeby ci kto w odpowiedzi miał pozostać dłużnym. Broń Boże. Ale da ci taką odpowiedź, że z niej nic wycisnąć nie potrafisz.

Mury tu za to mówią, zwierzają się ściany, w długich korytarzach słychać szept stłumiony. Kto za tym głosem iść może, dochodzi czasem bardzo ciekawych rzeczy.

Nie znaczy to bynajmniej, aby z ludźmi tutejszymi mówić nie było warto. Owszem. Ale w rozmowie takiej trzeba uważać bacznie na dwie rzeczy. Na to, czego ci nie mówią, i na to, o czym za dużo mówią. Gadatliwość bowiem służy tu często ku tym samym celom, co i milczenie, a kancelaryjna wrzawa jest jak gdyby obliczoną na zatarcie jakichś cichych głosów, o których nie wiedzieć, czy są słowem, czy westchnieniem. Toteż przy zwiedzaniu więzienia szczególniej złudzeń słuchowych wystrzegać się należy.

To, co tu jest do zobaczenia, krótkowidz dojrzeć może, ale tylko subtelne ucho dosłyszycie to, co dosłyszeć trzeba.

Najważniejszą ku temu przeszkodą jest uprzejmość samego zarządu. Gdy wejdiesz, a raczej, gdy się przekonają, że wejścia twego uniknąć niepodobna, stajesz się natychmiast przedmiotem niesłychanej, ojcowskiej niemal pieczołowitości i prawdziwie rycerskich względów. Sam „wielmożny” wybiega do przedsionka cię witać, sam cię do kancelarii wprowadzą, sadowi, uśmiecha się, zaciera dłonie i zapewnia, że jest z przybycia twego najszczęśliwszy. We wszystkim tym, co mówi, znać pewne roztargnienie. Przewraca papiery, szuka kluczy od biurka, skinieniem ręki odprawia strażnika, za ledwie stanął we drzwiach i usta otworzył, przy czym oczy jego odbywają szybki, sumaryczny przegląd kancelarii - Zapytuje się wreszcie, czy całe więzienie chcesz zwiedzić. Odpowiadasz skromnie, że zastosujesz się do woli i czasu pana nadzorca. W tej chwili oczy jego uspokajają się nieco, wolniej oddycha, głos ma równiejszy, ruchy nie tak nerwowe.

Naturalnie, któż by się trudził zwiedzaniem wszystkiego! On sam ci pokaże, co jest najciekawsze. Wyda tylko pewne dyspozycje. Od chwili, gdy zaczął mówić, słyszysz ociężałe kroki w korytarzu. Odgłos ten irytuje „wielmożnego” widocznie. Marszczy czoło uśmiechając się do ciebie i rzuca w stronę korytarza skośne, urwane spojrzenia, mówiąc głośniejszy, niż tego wymaga potrzeba. Wybiega wreszcie, nie przerywając rozmowy aż do chwili naciśnięcia klamki, przy czym śmieje się krótkim, przymuszonym śmiechem.

Na progu ogląda się jeszcze. Znać, że rad by się rozdzielić, i tu zostać, i tam być koniecznie. Wychodzi nareszcie, a ty zostajesz sam.

Jeśli jesteś nowincjuszem w obserwacji, przyglądasz się wielkim księgom rozłożonym na zielonym suknie długiego stołu, szafom zapelnionym papierami, plikom aktów po kątach rzuconym i wspaniałemu przyciskowi, który leży na najwidoczniejszym miejscu. Zatrzymujesz wreszcie wzrok na czarnym krucyfiksie i Chrystusie z kości słoniowej i jakieś błogie ciepło napelnia ci piersi.

Jeśli zaś nowicjuszem nie jesteś lub jeśli oczy twoje instynktem widzą, gdzie w takich biurach iść i czego szukać, to przede wszystkim patrzysz na wytartą i jakby wyżłobioną licznymi stopami podłogę w progu, na szczupłe oszalowanie tworzące nie opodal od wejścia rodzaj wółprzymionego i ciasnego kojca, gdzie się dają „widzenia”, wreszcie spoglądasz na pokryte grubą warstwą kurzu książki, które leżą kupkami na oknie, widocznie rzadko bardzo poruszane. W tej chwili wraca „wielmożny”. Jednym rzutem oka obejmuje sytuację i kierunek twego spojrzenia.

- Ach, to? - mówi uśmiechając się skromnie. - To biblioteczka nasza... Początek, zaród biblioteczki... Zniszczone to, bo ciągle w ruchu - dodaje biorąc w rękę tomik, z którego się sypie kurz i wręcz słowem jego zaprzecza - Zbliżasz się, przyglądasz, wreszcie, chcąc mieć wyobrażenie o całości, zapytujesz, jakie też w tej chwili książki są w czytaniu. Okazuje się, że w tej chwili, właściwie mówiąc, żadnych książek w czytaniu nie ma. Cały „zaród” na oknie leży pod warstwą pyłu. Dowiadujesz się przy tym, że te „szelmy” strasznie

wszystko niszczą i że gdyby im tylko książek dać do ręki, to "oho!"
Dowiadujesz się także, że z więźniami w żadne rozmowy wdawać się nie warto, bo wszyscy kłamią; że on sam, "wielmożny", cudów tu dokazał, że go aresztanci jak ojca kochają, że wydatki są ogromne, że roboty ręczne postępują wzorowo, że wreszcie co do moralności więźniów to się tu nic zrobić nie da, bo to zatwardziałe dusze, z którymi czego on sam nie zrobił, tego już nikt nie zrobi!
Ale może byś chciał najpierw zobaczyć ogródek? Nie? Wolisz gmach oglądać? Naturalnie, każdy ma swój gust. Chociaż ogródek jest ciekawy, bardzo ciekawy. W inspektach są już nawet rzodkiewki. A gdy to "wielmożny" mówi, oczy jego biegają po twojej twarzy z niezmierną szybkością. Gdyby mógł, przebiłby cię na wylot spojrzaniem. Wchodzi wreszcie strażnik i w milczeniu staje w progu. "Wielmożny" rzuca na niego wzrok pytający. Strażnik skłania głowę. W tej chwili pan nadzorca zaczyna rozmowę o pogodzie wypowiedziawszy kilka zupełnie uzasadnionych poglądów na jej stan obecny i nagle przerywa sobie od niechcienia pytaniem, czy życzysz już zacząć swoje oględziny. Pytanie to postawione jest z mistrzowską obojętnością.

Naturalnie okazujesz zupełną gotowość. Strażnik drzwi otwiera, wychodzisz, a za tobą wychodzi "wielmożny".

Okazałbyś się zupełnym gburem, gdybyś nie pochwalił czystości schodów i korytarzy w tej samej chwili, w której uderzy cię na nich woń stęchła i o mdłości przyprawić mogąca. Nie skłamiesz. Podłogi są istotnie czyste.

Na schodach spotykasz więźnia czołgającego się na czworakach ze skorupą w rękę, którą skrobie stopnie.

Zobaczywszy "wielmożnego" więzień zrywa się, opuszcza ręce, staje pod ścianą przylepiając się do niej, spłaszcza, maleje, w mur wsiąka niemal.

Nie przychodzi mu to z trudnością. Jego ogolona głowa, twarz szara i siwy kubrak odbijają od muru ledwo słabym tonem. Wyżej spotykasz dwóch jeszcze. Niosą oni dość duży ceber, przez którego uszy przechodzi drążek. Ta sama mdła woń, silniejsza tylko, bucha na ciebie z cebra. To obiad. Stajesz wreszcie na górnym korytarzu w oddziale, przypuścmy, kobiecym. Tu strażnik zatrzymuje się i wysunawszy wielki klucz spogląda na "wielmożnego". "Wielmożny" macha ręką na znak, że mu wszystko jedno. Po czym każe otwierać nr 9. Wchodzisz wzruszony, coś ściska cię w gardle, coś ci mgłą oczy zasłania. W pierwszej chwili nie czujesz nawet charakterystycznej mdłej woni, która tu jeszcze się wzmaga. Aresztantki otaczają "wielmożnego" całując go w ręce. Starsze wytaczają przed nim różne sprawy, młodsze uśmiechają się, mizdrzą, nastawiają, stroją dziwaczne miny. "Wielmożny" klepie je po ramieniu, grozi im palcem na nosie, zapytuje to o tę, to o ową. Wywołane po imieniu wychodzą z kątów; kilka z nich ma głowę głęboko spuszczoną.

Tymczasem zjawiają się inne, spod dalszych numerów, które strażnik otworzył także. Te są śmielsze jeszcze. Na ciebie patrzą z ciekawością, szyderczą niemal, i trącają się łokciami. Wreszcie jedna z nich całuje cię w rękę. Natychmiast czynią to samo wszystkie inne, pchają się, pociągając nosami i wzdychając głośno. Jeśli której zapytasz o co, odpowiada za nią sam "wielmożny", który też z właściwym sobie pięknym, okrągłym gestem przedstawia ci niektóre "bardzo porządne aresztantki". tudzież tłumaczy urządzenia izby, widoczne zresztą i bez tych objaśnień.

- Ot, tu mają okno - mówi na przykład - tu piec. tam tapczany...

Kieruje twoją uwagę, mówi bardzo głośno i bardzo obficie.

Gdy wzrok twój zatrzyma się dłużej na jakiejś twarzy lub na jakimś kąciku,

"wielmożny" niepokoi się natychmiast, mruga oczyma, podchodzi i pokazuje ci szydełkową robotę, wyjętą z ręki jednej z aresztantek. Jest przy tym psychologiem.

- To nic ciekawego - szepce krzywiąc wzdorliwie usta, skoro dojrzy żywszy błysk w twoim spojrzeniu - zwyczajna złodziejka!... Niewiele nawet skradła, nie opłaciło jej się...

Macha ręką i uśmiecha się gorzko. Po dziesięciu minutach spogląda ku drzwiom. Ma już tego dosyć. Ale nie byłby sobą, gdyby pominął tak wyborną sposobność do budującego przemówienia.

Podnosi tedy głowę, podaje pierś naprzód i zatrudniwszy białe palce pięknej swej ręki brelokami:

- No - mówi - bądźcie zdrowe! Widzicie oto, że są osoby litościwe, które was odwiedzają, które chcą widzieć, co tu robicie, jak się sprawujecie. Dla takich osób powinniście czuć wdzięczność...

Tu przerywa mu głębokie, z kilkudziesięciu piersi jednym przeciągłym jękiem idące westchnienie, bardzo zresztą podobne do tego "a!!!", które w kościółkach wiejskich słychać podczas Podniesienia. Aresztantki rzucają się do ciebie, całują twoje ręce, twoje suknie, twoje nogi.

- ... wdzięczność - kończy "wielmożny" - którą najlepiej możecie okazać przez dobre sprawowanie się. No jakże? Będziecie się dobrze sprawowały?

Powtórne, głośniejsze jeszcze "a!!!" napełnia izbę, przy czym aresztantki rzucają się do „wielmożnego”, całując jego ręce, poły jego surduta, jego buty, jego kolana - i audyencja skończona. Taż sama ceremonia odbywa się jeszcze pod dwoma lub trzema numerami, po czym idziesz oglądać lazaret, przez który przeprowadzają cię z niezmierną szybkością do warsztatów, gdzie z progu rzuca się okiem na szewców i krawców, do kuchni, gdzie "wielmożny" bierze od kucharza warząchew i proponuje ci skosztowanie -porcji dla chorych - zdrowi już jedli, wreszcie wychodzisz do ogródka, w którym wolno ci zabawić dłużej nieco, gdzie dostajesz parę kwiatków albo próbujesz obraną uprzejmię przez pana nadzorcę rzodkiewkę i skąd powracasz do kancelarii.

Tu "wielmożny" okazuje ci żywe zainteresowanie się twoim zmęczeniem. Proponuje ci tedy z całą uprzejmością, że jeśli zechcesz jeszcze kiedy ponowić swoje odwiedziny - przeczuwa, niestety, że możesz to zrobić! - to on nie będzie już cię trudził chodzeniem po schodach, tylko tu, do kancelarii, każe sprowadzić parę z "ciekawszych" aresztantek, a ty będziesz mógł z nimi pogadać i „wpłynąć na nie”.

Spodziewam się, iż masz tyle sprytu, że nie odrzucasz wręcz tej propozycji.

Już się do odejścia zabierasz, kiedy pan nadzorca, który na chwilę był wybiegł, powraca i prosi cię na wszystko, abyś do mieszkania jego wstąpić raczył, abyś nie gardził... Wymawiasz się zrazu, potem idziesz. Na wstępie spotykasz stoł nakryty do śniadania. Obok kredensu aresztant z podrosłymi nieco włosami i w cywilnym ubraniu przeciera talerze. Z głębokiego półmiska kurzą się flaki, obok stoi wyborne masło, rzodkiewka, bułeczki, sery, piwo i wino. Na próżno się upierasz, na próżno zapewniasz, żeś niegodny. Pan nadzorca sam ci na talerz nakłada, a napełniwszy kieliszki pije twoje zdrowie.

Po śniadaniu prowadzi cię gospodarz do salonu. Tu przede wszystkim dano ci jest podziwiać stoliczek zrobiony na imieniny przez więźniów, na stoliczku bukiet z chleba tejże fabryki, nad stoliczkiem laurka w ramkach, za szkłem, a na niej powinszowanie od aresztantek, zaczynające się słowami: "Jako to słońce, co

świeci na niebie..." Na drugiej ścianie druga laurka, przeszłoroczna, nad fortepianem trzecia. "Wielmożny" ma całą galerię tych interesujących pamiątek. Oglądasz ich pięć, sześć, dziesięć, ale nie możesz obejrzeć wszystkich.

Żegnasz się wreszcie, gospodarz ściska twoje ręce, wyprowadza cię do sieni, do schodków, do powozu, którego drzwiczki sam zamyka za tobą.

Jeśli w drodze konie cię nie poniosą i karku nie skręcisz, znaczy to, że nie wszystkie, choćby też najszczęśliwsze, życzenia ludzkie Opatrzność spełnić pośpiesza.

Łatwo pojąć, że choćbyś zrobił sto podobnych wizyt, pożytek z nich będzie taki właśnie, jak gdybyś na ulicy przed więziennym gmachem stanąwszy murom się jego przyglądał.

Na szczęście masz więcej cierpliwości niżli pan nadzorca, a także więcej czasu.

Długo wszakże trzyma się to w mierze.

Za drugiej, za trzeciej bytności twojej taka sama scena w kancelarii, tak samo "wielmożny" prowadzi cię na schody i pod numery, takie same miewa z powodu przyścia twojego kazania i tak samo zaprasza cię na flaki.

Aż zdarzy się wreszcie, że go odwołaj na drugi koniec korytarza, gdzie się pierzarki pobiły, a ty zostajesz sam na pięć, na dziesięć minut. Innym znów razem zatrzymuje się "wielmożny" lub wybiega dla rozprawy z dostawcą grochu i sadła. Jeszcze innym wypadają właśnie "widzenia". Co w takich razach jest najpocieszniesze, to usilne przeprosiny jego, że cię musi "na chwilę samego zostawić". Tak, na chwilę tylko. Ale byłbyś bardzo niezręcznym, gdybyś z chwilek takich skorzystać nie potrafił.

Drogą, na której tu wszystko zrobić można, jest droga powściągliwości i umiarkowania. Przede wszystkim nie należy niczym i nigdy wzbudzać nieufności w strażniku. Zostałeś sam, ale ani głos twój ani spojrzenie, ani ruch nie powinny być na jotę inne niż przy panu nadzorcy- Po wtóre nie należy strażnikowi nigdy ofiarować żadnych datków. On powinien wiedzieć, że masz prawo tu przychodzić i że otwieranie ci numerów nie zależy wcale od jego grzeczności i łaski, którą byś potrzebował opłacać. Jedynym gruntem, na którym tu silnie stanąć można, jest grunt najściślejszej legalności. Żadnych szeptów, żadnych intryg, żadnych konszachtów! Tym tylko sposobem dojść możesz do tego, że pan nadzorca przestanie za tobą biegać, a strażnik spostrzegłszy cię pochyli głowę siwą i pójdzie wprost na schody otwierać ci numery.

Skoroś to zdobył, wygrałeś.

Najpilniejszą teraz sprawą twoją będzie wyrównanie tego sztucznie wzniesionego poziomu, na jakim stosunek twój do więźniów postawiły przemowy pana nadzorcy- Wchodzisz tedy cicho, spokojnie, jakby do miejsca wspólnego pobytu. Zdejmujesz kapelusz, rękawiczki, a pozdrowiwszy aresztantki siadasz pomiędzy nimi na ławce, nie pozwalając, aby przerywały swoje zajęcia, i zaczynasz z nimi najpotoczniejszą rozmowę. W rozmowie tej unikasz jak ognia wszelkich ogólników moralizatorskich, wszelkich wzdychań na temat zepsucia, obrazy boskiej, śmiertelnych i powszednich grzechów. Nigdy też nie wypytujesz o samo więzienie, o jego urządzenia, zarząd itp., ale zwracasz się do której z młodszych kobiet, dowiadujesz się, jaką robotę wykonywa najwprawniej, oglądasz wyplatanie krzesel, szycie, haft, dzierganie, przychylając się do robotnicy i nie odbierając jej roboty z ręki, przez co okazujesz szacunek dla jej czasu. Przy tej sposobności pytasz o imię, nigdy zaś o nazwisko, które i tak ci sama aresztantka powie, pytasz o wiek, o rodziców, o rodzeństwo; wyrażasz przy tym skromnie domysł, że pewno tęsknią do niej, przez co podnosisz ją we własnych oczach, czyhać komuś

drogą, słowem, zachowujesz się z aresztantką w taki właśnie sposób jak gdybyś zgoła nie w więzieniu ją poznał, ale w domu lub w warsztacie.

Nie zwracasz nigdy uwagi na rzeczy wstydzące młodą dziewczynę, jak np. obcięcie włosów i brzydki czepiec więzienny. Przy zadzierzgiwaniu tych pierwszych, tak subtelnych, a tak silnych węzłów wzajemnej ufności pomijasz prawie zupełnie chwilę obecną, zajmując się przeważnie przeszłością aresztantki i jej nadziejami na przyszłość, które musisz zatlić tam, gdzie ich nie ma, a podtrzymywać i kierować nimi tam, gdzie chwieją się i gasną.

Nie posługujesz się nigdy w tej pierwszej chwili takimi pytaniami i odpowiedziami, które by zarówno do niej, jak i do dziesięciu innych stosować się mogły; mówiąc z nią, o jej tylko los się troskasz, nią tylko jesteś zajęty, jej tylko oddany. Z szarej, bezbarwnej masy ogólnego przestępstwa i ogólnej kary wydobywasz zainteresowaniem się swoim indywidualność ludzką. A to jest twoim najwyższym zadaniem. Na usługi swoje musisz mieć wyborną pamięć, wielką delikatność uczuć i łatwość stawiania się w różnorodnych, psychicznych stanach. Zwykle w numerze znajduje się małe dziecko. Czasem bywa tego po dwoje, po troje. Bierzesz je od matki na ręce, dajesz mu jakiś przyniesiony z sobą kawałek bułki, trzymasz je na kolanach lub kołyszysz, jeśli jest senne. Matka, która nieraz przeklinała jego istnienie, uśmiecha się widząc to i jest wzruszoną. Jeśli dziecko było tym razem brudne i zaniedbane, niech cię to nie zraża. Za drugą bytnością swoją znajdziesz je z pewnością wymyłym i w czystej koszulce. Poruszasz się, mówisz i czynisz to wszystko z pełnym spokojem. Owszem, głos twój jest raczej cichy niż donośny. Ci, co się zrazu skupiają dokoła, aby cię słyszeć, garną się później do ciebie, aby cię słuchać!

Innym razem zapytujesz aresztantek, ile ich jest ze wsi. Bywa ich zwykle połowa w każdym numerze. Pytasz tedy o okolice, o nazwy wiosek, o byt gospodarzy, o warunki dawnego życia. Korzystasz przy tym z bieżącej pory roku, aby mówić o siewach, o grabieniu siana, o żniwach, o kopaniu kartofli, o obróbce lnu, o tkaniu i bielieniu płótna, o pieśniach śpiewanych przy wspólnej pracy na polu i w chacie. Jeśli to jest niedziela, mówisz -kościelnie wiejskim, o dzwonach, co zwołują na Anioł Pański, o suplikacjach, które lud cały śpiewa, o krzyżu przydrożnym, który dziewczęta ubierają w kwiaty, o święceniu ziół, o pasterce, o rezurekcji...

Zrazu każda aresztantka ma coś do powiedzenia. Wkrótce wszakże głosy milkną, a po kątach słychać szlochanie i wycieranie nosów w grube więzienne fartuchy. Zapytujesz wtedy, czyby one nie chciały - ponieważ tam właśnie wszyscy się modlą - odmówić z tobą pacierza?

Zamiast odpowiedzi większa część kłęką, wzdycha i bije się w piersi. Nie zwracasz uwagi na te, które stoją, i odmawiasz głośno, z wolna: "Ojcze nasz", "Kto się w opiekę" albo "Święty Boże". Gdy skończysz, spostrzegasz, że kłęczą wszystkie, prócz Żydówek, a i na tych znać powagę chwili.

Wzajemnych skarg, plotek, opowiadań o cudzych przestępstwach nie dopuszczasz nigdy. Nigdy też, nawet w najpoufniejszej rozmowie, nie do- pytujesz się o rodzaj i stopień winy. Twoim tryumfem będzie dowiedzieć się o tym od płaczącej u kolan twoich lub na piersiach twoich aresztantki, a to w takiej rozciągłości i z takimi szczegółami, jakich żadne śledztwo dobyć by z niej nic zdołało nigdy.

Gdy się to stanie, możesz iść na flaki, pić zdrowie i oglądać laurki "wielmożnego". Zrobiłaś swoje.

Z miesiąc coś może po owej pierwszej mojej bytności w więzieniu znów mi wypadło przechodzić przez korytarz, w którego głębi był... "jeszcze jeden numer". Stary

Jakub, idący tym razem przede mną, zatrzymał się nieco, obejrzał, zażył tabaki i zmrużywszy lewe oko, jak to miał w zwyczaju, zapytał znieńacka:

- A widziała też pani "Dziką"?

- Nie, nie widziałam-odrzekłam spokojnie.-A cóż to za Dzika ?'

- A lichy ją wie, proszę łaski pani. Dzika i Dzika. Tak tu na nią wołają.

- Cóż to aresztantka?

- Iii - odrzekł Jakub machnąwszy ręką - taka niby dokumentna aresztantka to ona nie jest. Ale że ją tu trzymają wedle papierów...

Poruszył się i szedł dalej, to drepząc parę kroków, to przystając i biorąc tabakę.

Naraz odwrócił się znowu.

- Bo to, proszę łaski pani - mówił zniżywszy głos nieco -jak była ta wojna, niby turecka, to insze panowie oficerzy nawieźli różności z tamtych tam krajów. Psy nie psy, konie nie konie, fuzje nie fuzje, Murzyny nie Murzyny, aż jeden sobie i pannę przywiózł. Od rodziców ją, powiadali, namówił czy coś. Tak mieszkał on tu z tą panną w mieście jakieś czasy, aż potem musiał z wojskiem na trawę ciągnąć, na wieś. A już mu się ta panna uprzykrzyła. Jak mu się też uprzykrzyła, to on co robiący, do wójta na onej wsi melduje tak a tak, co tu się taka a taka znajduje bez papierów. Ano dobrze. Jak on ją do wójta melduje, tak wójt ją łapać. Pobił ją ta on wójt, poturbował, bo się nie dała brać i strasznie do oczów skakała- aż ją do nas przywieźli. Jak ją do nas przywieźli, tak my ją zamknęli pod czternasty... Tam gdzie Walera, proszę łaski pani...

- Wiem, wiem.

- Jak my ją pod czternasty zamknęli, tak jej się zara w głowie zaczęło psuć, że ino ciągle chodziła, rękami wymachiwała i cości gadała a gadała, ale po jakiemu, to nikt nie mógł wiedzieć. Bez to myją i Dziką przezwali, że to i takiej czarniawej urody była przy tym... To znów jak na nią przypadło, to się cięgiem śmiała. Cha, cha, cha! i cha. cha. cha! Aż się, bywało, tak zmorduje, że się o ziemię jak drewno ciśnie i targa się za włosy i płacze tak, że aż się człowiekowi coś dzieje słuchając. A włosy, proszę łaski pani, to ma takie, że choć z nich bicze kręć na cztery konie... To jak ona tak śmieje się i płacze, to jedna i druga do mej z pięścią... A nic będziesz ty cicho, ty taka, ty owaka! Buch ją raz w kark, buch ją drugi raz. Ano dobrze! To taki nieraz, proszę łaski pani. wrzask był w korytarzu, że zwyciężyć nie było można... Aż też ją wielmożny tu przesadził, i tak tera siedzi.

- Tu, pod tym numerem?

-- A tu... Tera ją fotografowali, co jej fotografią mają posyłać do tamtych tam krajów, coby się kto do niej nie przyznał, rodzice albo kto... Bo to młode, z osiemnaście lat temu, nie więcej.

-- I wy tam do niej chodzicie?

- A chodzę. Co nie mam chodzić? Ino że się z nią nijakiego rozmówienia nie ma- Jak tam nieraz człowiek wejdzie, a odezwie się ot tak, po dobroci, to się namarszczy. aż jej się te brwie zejda...

W tej chwili doszliśmy do drzwi. Jakub klucz przekręcił w zamku i puścił mnie przed sobą.

Izdebka była niewielka, o jednym zakratowanym oknie, bielona jak wszystkie numery. Pod oknem stał czarny stolik, na nim cynowa miseczka więzienna z nie tkniętym jeszcze krupnikiem. Pod ścianą na lewo od wejścia ,tapczan taki, jakie tu w lazarecie są w użyciu. Na tapczanie twarzą do ściany leżała Dzika. Ogromne czarne włosy rozsypane były na wypchanej słomą poduszce, małe nóżki w podartych,

niegdyś wykwintnych, trzewiczkach widać było spod jasnej, lekkiej sukni, której wesołe barwy dziwnie odbijały i od tego dnia zimowego, i od brunatnej więziennej kołdry.

Chociaż drzwi skrzypnęły dość głośno. Dzika nie poruszyła się z miejsca, tylko dłonią twarz zasłoniwszy, głębiej się w poduszkę wcisnęła. Dopiero kiedy Jakub do stolika podszedł i zapytał, czemu obiadu nie je, poniosła się nieco na łokciach i odwróciwszy głowę, pałającymi oczyma na niego spojrzała. Oryginalnie piękną była jej twarz śniada i niezmiernie wynędzniała, ale szlachetnie skrojona. Brwie - jak mówił Jakub - silnie ściągnięte, schodziły się niemal czarną, wąską linią, usta jej drgały.

Chwilę patrzyła tak na strażnika z wielką jakąś wzdargą, mrużąc ogniste oczy, aż zdławionym, hamowanym widocznie głosem wyrzuciła z piersi kilka gniewnych i szorstko brzmiących wyrazów w nie znanym mi języku...

Nagle wzrok jej padł na mnie i odbił ogromne zdumienie. Powolnym, jakby zawstydzonym ruchem odgarnęła z twarzy włosy, spuściła nogi, poprawiła suknię i podniosła się nie zdejmując ze mnie coraz głębszym cieniem zachodzących oczu. Postać jej była gibka, szczupła i składna.

Patrzyłam na nią z niezmiernym współczuciem. Co do Jakuba, ten wyniósł się dyskretnie i drzwi za sobą przymknął.

- Au nom de Dieu, Madame - wyszeptła wtedy Dzika, przyciskając do piersi obie ręce kurczowym jakimś ruchem - au nom de Dieu...

Chciała coś mówić, ale nagle drżeć zaczęła, przymknęła oczy i szukając ręką oparcia padła w tył na tapczan, uderzyła w ścianę głową i zanosła się wielkim płaczem...

- De Dieu... de Dieu... de Dieu... - łkała nie mogąc wymówić nic więcej. A tuż zaraz chwycił ją spazmatyczny i niepowstrzymany śmiech, przy którym te powracające na usta jej wyrazy miały jakieś okropne, tragiczne znaczenie. Trwało to może kwadrans, a może i dłużej, w którym to czasie na próżno usiłowałam uspokoić Dziką. Rozpięłam jej stanik i zmaczawszy chustkę w dzbanku położyłam ją na drgającym sercu biednej dziewczyny. Siadłam potem przy niej, objęłam ją i przycisnęłam głowę jej do piersi. Po śmiechu przyszło łkanie, rozdzierające zrazu i rozpaczliwe, potem coraz cichsze, coraz cichsze, aż się rozplynęło w westchnienia. Zmrok zapadł już zupełnie, kiedy Dzika głęboko zasnęła.

Wtedy jej głowę złożyłam na poduszce, otuliłam ją kołdrą i wyszłam cicho na palcach. Nie opodał ode drzwi stał Jakub. Spojrzał na mnie, pokiwał głową i zmrużywszy lewe oko zażył niuch tabaki.

Autor: Maria Konopnicka

Tytuł: III. ONUFER

1.

Już miałam wychodzić, kiedy Jan Zaparty, młodszy strażnik z pierwszego piętra, wpadł do kancelarii.

- Proszę wielmożnego - zawołał zdyszany, robiąc "front" u proga. - Pod piątym rewolucja! Osmólec tak tłucze Onufra, że go oderwać nie można.

- Co to nie można! - krzyknął pan nadzorca zrywając się z fotela. - Ruszaj po Jakuba, ciemiego, kiedy sam rady dać nie umiesz, i przyprowadzić mi tu ich obu! Natychmiast! Słyszał?

- Słyszał! - odrzekł wyprostowany w kij strażnik i zniknął za progiem.

"Wielmożny" stał jeszcze chwilę twarzą ku drzwiom zwrócony, ze obiegniętymi brwiami na pięknym, białym czole. Oczy mu się paliły, krew podeszła do skroni, w całej postaci znać było gniewne wzburzenie. Po chwili wszakże opanował się,

odsapnął, a rzuciwszy przez zęby: "cymbał", siadł i zaczął gładzić pulchną, błyszczącą pierścieniami ręką sinawą, gładko wygolony podbródek, przegarniając bujne faworyty na prawą i na lewą stronę. Mitygował się, ale znać było, że mu to przychodzi z trudnością. Nie lubił, aby sprawy podobne wybuchały wobec trzecich osób, rzucił mi też z fotela swego kilka szybkich, ukośnych, dosyć cierpkich spojrzeń.

Tymczasem w korytarzu rozległ się odgłos ciężkich kroków, a do kancelarii wszedł starszy strażnik Jakub, inaczej świętym Piotrem dla kluczów, którymi zwykle brząkał, zwany, popychając przed sobą drobnego, jak kogut nastroszonego więźnia z suchą, czarniawą twarzą i zuchwałymi oczyma, po których przelatywały złote i czerwone ognie. Dość było spojrzeć na niego, aby poznać, że gorący jest jeszcze od bójki, z której go wyrwano. Pięści miał zaciśnięte, na czole żyły jak postronki, kolana pod nim drżały, nozdrzami prychał, a ostre, rzadkie zęby błyskały mu spomiędzy warg jak u brytana.

Za Jakubem wszedł olbrzymi chłop w siwym, więziennym, szeroko na piersiach rozerwanym kubraku, z wielkim, głęboko między ramiona wciśniętym łbem golonym. Twarz miał dużą, ospowatą, mocno obrzękłą, a cała jego wielka, ciężka, skurczona w sobie postać przypominała wołu, ogłuszonego uderzeniem obucha.

Gdy wszedł, owinięte szmatami nogi zgął w kolanach, łokcie w tył za siebie wysunął, a trzymając w obu rękach na obnażonej, rudo zarosłej piersi swoją aresztancką czapkę bez daszka, oczy w podłogę wbił i zaczął trząść wielką, wciśniętą w kadłub głową.

Chłop był młody, trzydziestu lat może nie miał, ale zniszczony był strasznie.

Żarło go coś widocznie i krew z niego ssało. A nie było to owo powolne, charakterystyczne wyniszczenie, jakiemu podlegają dawni więźniowie i recydywiści, ale jakaś nagła i niepowstrzymana ruina, od której pomimo ogromnej budowy swojej tak zetlał, że zdawało się, iż potracony palcem padnie o ziemię i w proch się rozsypie. Twarz jego nie była ani bezmyślnie tępa, ani też ponura, ale leżała na niej jakaś niezgłębiona troska i wielki, wielki, niezwykłony strach; a lubo obrzękła od razów, jakie jej świeżo Osmólec zadał, znać było, że wyrazu swego nie zmieniła, go miała przedtem i mieć będzie potem, zawsze, zawsze. Zaciętości niedawnej bójki ani śladu. Parę razy, owszem, spojrział olbrzym na Osmólcę tak, jakby mu był wdzięczny za to, że go przed sobą widzi. Była to szczególna postać, która mnie zaciekawiła mocno.

Konwój zamykał Zaparty, a okrągłe, silnie wytrzeszczone oczy jego świadczyły o nateżeniu mózgowicy ku spełnianiu rozkazów "wielmożnego".

- Osmólec - rzekł pan nadzorca silnym swoim, dźwięcznie wibrującym głosem. - Ty co znów? Doigrać się chcesz?

Mały, czarniawy więzień wystąpił ku środkowi i odrzekł śmiało:

- A nic, proszę wielmożnego...

Już po tym jednym ruchu i po tonie mowy poznałam, że to recydywista, stary, szczwany ćwik.

"Wielmożny" patrzył też na niego z pobłażaniem jakie tu tylko dawnych i dobrze znanych aresztantów udziałem bywa.

- Jak to nic? Co tam za rewolucję pod numerem robisz?

- Ja ta nijakiej rewolucji nie robię, tylko mi poszło o spanie. Spać każdy musi.

Przygaś już w sobie, ale mówił jeszcze ostrym, świszczącym głosem człowieka zmęczonego bójką. Czuł też widać, że słusność przy nim, bo patrzył bystro, wprost w twarz "wielmożnego". "Wielmożny" zmarszczył czoło i zwróciwszy się do strażnika zapytał ostro:

- Zaparty! A co tam znów za nieporządki w spaniu?

Wyprostowany strażnik głębiej jeszcze brzuch wciągnął w siebie, szerokie piersi wystawił, but do buta przystosował, przełknął ślinę i szybko mrugając wytrzeszczonymi oczami rzekł:

- Nie pokazało się tam żadnego nieporządku, wielmożny panie!

- Nie pokazało! - powtórzył po nim zuchwale Osmólec, przekrzywiając głowę i mrużąc lewe oko. - A skąd to pan strażnik wie, że się nie pokazało?

- Jezu! Jezu! - jęknął nagle po dwakroć Onufer i podniósł wzrok błędny przed siebie.

Nikt wszakże nie zważał na to, a Osmólec tak mówił dalej:

- Niech no by pan strażnik choć jedną noc nocował na mojej pryczy, toby mu się zara pokazało!

Na twarzy olbrzymiego Onufra wybiła wielka męka. Głowa jego trzęsła się coraz silniej. Osmólec całkiem się tymczasem do Zapartego zwrócił.

- A ja panu strażnikowi powiem, że kiedy tutaj siedzę, to jestem kazienny

hareśtant i wygodę swoją muszę mieć, bo tu na mnie wszystko z każdy idzie! I jadło, i mundur, i spanie, i wszystko z każdy na mnie idzie! Wie pan strażnik?

Mówił to zwrócony twarzą do strażnika, ale oczyma zuchwale ku "wielmożnemu" błyskał. Tę taktykę stawiania zarzutów przez elewację znalazł doskonale. Używali

jej zazwyczaj doświadczeni więźniowie, i to z powodzeniem. Jakub, stary

strażnik, znał ją widać równie dobrze, gdyż obojętnie patrzył w okno, niuchając

ukradkiem tabakę, ale Zapartemu złość po twarzy kipiłą szła. Nie patrzył on

wszakże na Osmólca, tylko jak w tuza oczy w "wielmożnego" wlepił, przekazując mu

niby to wszystko, co od Osmólca usłyszał. "Wielmożny", głęboko zasunięty w

fotel, brwi miał lekko zbiegnięto i palcami podług zwyczaju po soile bębnił;

piękne jego oczy podnosiły się przy tym i spuszczały długim, powłóczystym

spojrzeniem. Zdawać się mogło, iż wywodów Osmólca przez roztargnienie tylko

słucha, a myśl ma zajęta innymi, stokroć ważniejszymi sprawami.

I ta kancelaryjna taktyka obcą mi nic była. Wyznać nawet muszę, że przynosiła

ona pewne, dość znaczne korzyści, a mianowicie: pozwalała wyświetlić się sprawie

bez nakładu osobistego badania pomiędzy możliwymi zarzutami, możliwość zaś taką

zawsze przewidywać należało, a władza stawiała mur ochronny, niejednokrotnie dla

powagi tejże władzy konieczny; wreszcie bagatelizowała, że tak powiem, sprawę

sama w oczach osób trzecich, wypadkowymi i niepożądanymi świadkami jej będących.

Najkomiczniejszym było to, że każdy z aktorów tego przedstawienia znał doskonale

role wszystkich innych i że pomimo to sztuka ta odgrywała się z całą powagą

należną wielkiemu zielonemu stołowa urzędowo żółtym ścianom, zapyłonym stosom

papierów oraz innym akcesoriom biurowym.

- A po drugie - mówił dalej Osmólec - człowiek trzeci raz już tu, Chwalić Boga

siedzi, to wie, co do czego jest przynależące. Co złodziejstwo to złodziejstwo,

a co zbójnictwo to zbójnictwo! W jednym msza polityka, a w drugim msza polityka.

Kuzdy ma swój humor! I pan strażnik ma swój humor, i wielmożny nadzorca ma swój

humor i ja mam swój humor. Kiedym ukradł, tom ukradł, to swoja rzecz, to mi nie

pierwsze! A z takim zbójem świętokrzyskim graniczyć mi nie potra! Pan strażnik

dobrze wtedy na trzeci bok się wywróci, kiedy Onufer jak zapomniały po nocach

się ciska, żeby jego choroba utłukła! Onegdaj a to świecę szewcom od łojenia

porwał i jak gromnicę przy pryczy palił. Jeszcze kiedy całe posiedzenie het

precz z dymem puści!

Zmarszczył się "wielmożny", głowę uniósł nieco i spod brwi nasuniętych gniewnie

na Zapartego spojrział. Strażnik stał wyprostowany i również w twarz

"wielmożnego" patrzył. Co do starego Jakuba, ten z wielką uwagą obserwował szmat pajęczyny wiszącej nad piecem i dwa palce w tabakierce trzymał. Była to sytuacja nieocenionego komizmu pełna.

- A dziś - mówił Osmólec obtarłszy usta wierzchem ręki - to tak jęczał bez calušką noc, jakby jego kto rznął! Niestrzymane rzeczy! Człowiek, jak się układzie, toby i spał. bo ma ze wszystkim czyste sumienie: ataki duszegub i dysperak to i sam nie śpi. i drugiemu nie da!

Ino światło zgaśnie, zara stęka, że coś przed nim stoi. A ja co temu winien, że co przed nim stoi? Ja za nim pałki nie nosi! Człowiek, chwalić Boga, swój wyrok ma i za swój siedzi, a do inszych to mu ta nic! Żeby ja miał nad każdym zbójnikiem stękać, tobym się dawno rozpukł!

- Jezu! O Jezu! - głucho znów jęknął Onufer, ale nikt nie zważał na to.

Osmólec zaś tak rzecz swoją kończył:

- A pan strażnik kiedy taki mądry, to niech. Onufra na osóbek wytransportuje, to pod numerem nijakiej rewolucji nie będzie! Bo tam same porządne ludzie siedzą i już! Wie pan strażnik?

Nastawił się i aż w biodrach przysiadł. Przechodziło to widać miarę zwykłej bezczelności, bo stary Jakub splunął w bok i z szelestem ślinę butem zatarł.

- No, no! - zawołał marszcząc czoło pan nadzorca. - Nie bądź taki rezolutny! To ty nie wiesz, że za bijatyki ciemna? Jeśli ci się krzywda dzieje, to masz kancelarię! Masz mnie! A samemu sobie sprawiedliwości robić tu nie wolno!

Osmólec rzucił spode łba na "wielmożnego" szybkie, zadziwione spojrzenie. Tego tonu nie spodziewał się widać. Nie brał widocznie w rachubę mojej obecności. Po twarzy jego przemknęło najpierw zaniepokojenie, a potem szybka decyzja. Podeszedł do fotela i uściskał "wielmożnego" za kolana.

- A cóż to wielmożny pan - mówił wzruszonym głosem - mało się nad nami naturbuje, namęczy, żebym ja za lada głupością do kancelarii latał i wielmożnego pana fatygował? A czy mi to wielmożnego pana zdrowie niemiłe albo co? A toby mnie Pan Bóg za to ciężko skarał! Toć wielmożny pan nade mną ojciec i opiekun najkochańszy! Żeby nie wielmożny pan, toby ja był ze wszystkim sierota!...

Tu nos w palce wytarł i chlipać począł. Zapatrzył się na niego Jakub, a tak był przejęty mistrzowskim wykonaniem tej sceny, że tabakę w palcach trzymając nie niósł jej do nosa.

- Ani ja ojca, ani ja matki, ani żadnego przyjacielstwa! - chlipał Osmólec. -

Hu! hu! hu!... Bóg tylko jeden nade mną na niebie, a drugi wielmożny pan na ziemi, hu! hu!... Niech ta dziesięć razy bez dzień na mnie strażnik skarży, hu! hu! hu! A ja ojca swego i wielmożnego opiekuna, i dobrodzieja swego nie będę o lada co turbował, hu! hu! Ja wielmożnego pana tak kocham jak dziecko matkę!... hu! hu! hu!... Bo mi wielmożny pan za matkę stoi i za wszystkie majątności! hu... hu...

Mówił szybko, płaczącym głosem, spode iba tylko zerkając, jak mu się ta sztuka udaje.

Dosyć! Dosyć już! - przerwał pan nadzorca z ojcowską surowością w głosie.

Osmólec jednak chlipać nie ustawał.

- Wielmożny pan mnie słuchać nie chce, hu... hu... hu... hu!... A ja bym wielmożnemu panu nóżki umył i brud wypił, hu! hu!... Jak ja stąd wyyszedł na jesień, hu! hu! hu!... tom sobie rady nie mógł dać bez wielmożnego pana! Żeby mi srebro, złoto dawali, żebym w aksamitach chodził, tobym bez wielmożnego pana żadnego wskórania nie miał... Hu! hu! hu! hu!... Dopiero, jakem się tu powrócił, a wielmożnego pana zobaczył, hu! hu!... to mi tak było, jakbym się na świat

drugi raz narodził... hu!... hu!- hu!... A wielmożny pan za moje kochanie... hu!
hu! hu!...

Aż mnie dziw brał, że pan nadzorca tak długo Osmólcowi gadać pozwolił, ale przypomniałam sobie, że - sam krasomówca - w bystrejmowie się kochał i obrotnego języka rad słuchał.

Tymczasem Osmólec plackiem na podłogę padł i buty "wielmożnego" całował chlipiąc głośno.

- No, no! Bez tych czułości - rzekł mięszym już głosem pan nadzorca- - Ostatni raz ci daruję, pamiętaj! Jak tobie nie wstyd nawet, takiemu staremu, porządnemu aresztantowi, co już trzeci raz tu siedzi i przykładem dla innych być powinien, za łby się z frajerami wodzić! Nie spodziewałem się tego po tobie! Zawsze cię do porządných ludzi liczyłem, a ty mi taki zawód, taki wstyd robisz! Pfe! Martwisz mnie!

- Hu! hu! hu!... - beczał Osmólec plackiem na podłodze leżący. - Ja bym dla wielmożnego pana krwi z małego palca utoczył! Ja bym wielmożnemu panu śmiertelny grzech powiedział! Ja wielmożnego pana tak kocham, że się we mnie wnętrzości od żalu pękają. Jak wielmożny pan się na mnie gniewa! hu! hu! hu!...

.- No, dosyć już, dosyć - rzekł, podnosząc go łaskawie, pan nadzorca. - Ruszaj pod numer i żeby mi tam było spokojnie! Rozumiesz?

- Rozumiem, wielmożny ojczcie i opiekunie najukochańszy! Rozumiem!

Podniósł się Osmólec, stęknął, pociągnął kilka razy nosem, pięścią wytarł oczy, w których jakoś łez nie było widać, i ku progowi się cofnął.

Zaparty, wyprężając tymczasem kolejno wszystkie swoje mięskuly, zdołał nareszcie przybrać jak najbardziej poprawną w stylu kancelaryjnym postawę. Istotnie, wyglądał on jak epileptyk w napadzie tężca. Oczywiście już nawet nie mrugał, bo mu kołem, wpatrzony w twarz "wielmożnego", stały.

Stary Jakub miał je za to do połowy zmrużone, jakby, znudzony znanym sobie widowiskiem, usypiał; głowa mu też nieco z karku zwisała, co go uczyniło podobnym do starej szkapy, która - lubo w zaprzęgu - z lada przystanku korzysta, aby łeb stary zwiesić i zdrzemnąć na chwilę. Co do pana nadzorcy, ten był promieniejący i poglądał na mnie z pogodnym tryumfem, rad widocznie, że aresztant tyle sprytu i polityki okazał, a jego jasne piękne oko zdawało się mówić:

„A co? Tak u nas! Szaleją po prostu za mną ci hultaje!”

A tam, u progu, z wbitymi w podłogę oczyma stał tymczasem olbrzymi Onufer, w siwym swoim, rozerwanym kubraku, coraz silniej cisnąc czapkę do szerokiej, obnażonej piersi. Tego, co się dokoła niego w kancelarii działo, zdawał się nie widzieć i nie słyszeć wcale: głową tylko na obie strony chwiał i brwi na żółkłym i zorany przedwcześnie czole wysoko podnosił, jakby się dziwił czemuś i czymś przerażał w sobie-Po czy m znów nagle trząść się zaczynał i stękał jak ciężko chory człowiek.

Osmólec przechodząc koło niego rękę w kułak ścisnął i wysuniętym knykiem wielkiego palca w biodro go pchnął. Wielki Onufer ocknął się i spojrział na niego zmaconym wzrokiem; na jego twarz śmiertelnie stroskaną nie wybił się najmniejszy siad niechęci- Po czym zaraz oczy wbił w ziemię i brwi nad czołem w niezmiernym zadziwieniu podniósł.

- A cóż ty tam! Nie ruszysz się? - przemówił po małej pauzie pan nadzorca. - W ziemię wrosłeś czy co?

Szturchnął go ponownie Osmólec.

- Dalej go! Będiesz tu jak drąg stał, kiedy nasz wielmożny ojczcie i opiekun najukochańszy do ciebie gada? A padnijże do nóg pańskich! A podziękujże

wielmożnemu panu!

Ale Onufer, zamiast ku fotelowi podejść, jak stał, tak na kolana u drzwi runął, a podniósłszy obie ręce trząść nimi zaczął, wołając zdławionym głosem:

- Ani drgnął! Ani zipnął, chudziaszek! Inom go, raz... I ani drgnął! Ani tchu nie puścił! O Jezu! Jezu! Jezu!...

Rękami nad głową splasnął, palce splótł i czołem o podłogę z głuchym łoskotem uderzył, a ogromny, do ryku podobny jęk wstrząsnął żółtymi ścianami kancelarii. Pan nadzorca cofnął się od stołu z fotelem, chociaż go prawie cała długość pokoju od Onufra dzieliła, i przybladł nerwowo. Był wrażliwy i nie lubił scen przechodzących miarę zwykłego, łagodnie roztkliwionego liryzmu.

Widząc to Osmólec znów kilka kroków ku środkowi postąpił i pochylając się z miną zaufańca rzekł:

- I nie bydlę to, proszę wielmożnego? I to tak bez caluśkie noce idzie! Świętemu by cierpliwości brakło!

- Ani drgnął... Ani zipnął... Jak ten ptak... Jak ten ptak...-głuchym, zduszonym rykiem powtarzał Onufer. - O moje dziecko, moje dziecko! O Jezu! Jezu! Jezu! Twarz pana nadzorcy zachodziła złowrogim cieniem. Palce jego coraz szybciej po poręczy fotela bębniły, a brwi zbiegły mu się nad gniewnymi oczyma groźne i drgające.

Chwile trwało milczenie.

Zaparty, który przy runięciu Onufra na kolana wyszedł był nieco z "frontu", znów się wyprężył do niemożliwości, a stary Jakub szyję z niebieskiej obwiązującej ją chustki wysunawszy, głowę ku "wielmożnemu" podniósł i nozdrza nastawił.

Tak zmyślny wyżeł patrzy w oczy panu, rychło powieką mrugnie albo palcem ruszy.

- Do ciemnej go! - zakomenderował "wielmożny".

W jednej chwili zerwał się Onufer na klęczki i ręce do "wielmożnego" wyciągnął:

- Panie! - zawołał - Panoczku! Panie miłosierdny! Różgami sieć każcie, język zakneblujcie, strawę odejmijcie, ręce i nogi zakujcie, ale dociemnej nie sadźcie! Nie sadźcie do ciemnej, panie miłosierdny, bo on tam z każdego kąta na mnie patrzy... Panoczku miłosierdny, nie sadźcie!

Na szeroką, obrzękłą twarz jego wystąpił wyraz śmiertelnego strachu, zaciśnięte ręce trzeszczały w stawach i trzęsły się ku "wielmożnemu" konwulsyjnym ruchem, oczy otwierały się coraz szerzej, głos chrypiał. Począł się wreszcie Onufer na kolanach ku fotelowi czołgać powtarzając: "Panie miłosierdny! Panoczku miłosierdny!..."

Czołgał się powoli, ciężko, ciągnąc za sobą grube swoje, obwinięte szmatami nogi jakby wielki, wielki ciężar.

Widok był tak straszny, że mimo woli złożyłam ręce i pochyliłam się ku nieszczęśnikowi.

A wtedy pan nadzorca wstał i rzekł suchym głosem:

Na dwadzieścia cztery godzin!

Zakotłowało się u proga, strażnicy przy pomocy Osmólca chwycili olbrzymiego chłopca, pchnęli go, po czym drzwi się zamknęły, a ciężkie kroki oddalających się cichły stopniowo w długim korytarzu więziennym.

2.

Na kilka tygodni przed wyżej opisaną kancelaryjną sceną jedno z pism miejscowych podało następujący artykuł:

"Sądowa izba warszawska rozpatrywała w dniu wczorajszym na pełnym posiedzeniu sensacyjną sprawę o zabójstwo kupca N., właściciela sklepu towarów kolonialnych w X, spełnione w miesiącu wrześniu rb.

Sprawa ta po wysłuchaniu oskarżonego i świadków przedstawia się, jak następuje: Przed dwoma blisko laty kupiec N. przyjął na parobka Onufrego Sęka, pochodzącego ze wsi Witaszewice, powiatu X, guberni Y, który po nastąpieniu tamże pogorzelem do miasta, szukając zarobku, przybył. Powołani świadkowie zgodnie zeznają, iż Onufer Sęk obowiązki swoje sumiennie pełnił, dobra pańskiego wiernie pilnował, trzeźwy był, uczciwy i spokojny.

Co zaś do osoby samego kupca N-, utrzymują oni, iż dla służby bywał srogi, źle ją żywił i w wypłacie zasług krzywdził. Zeznają dalej świadkowie, między którymi jest wielu dawnych sług zabitego, iż żaden z nich dłużej nad kwartał w służbie tej wytrwać nie mógł, a byli i tacy, którzy ją już po kilku dniach rzucali. Gdy zaś przy wzrastającej zgryźliwości i porywczosci charakteru kupca N., który bezzennym będąc, sam gospodarstwo prowadził, coraz trudniej o ludzi było, Onufer całą robotę w domu i w sklepie sam spełniać musiał, gotując przy tym i usługując do stołu pryncypałowi. Usługiwanie to i gotowanie najwięcej mu się przykrzyło. Kupiec bowiem, ilekroć mu parobek w czym nie dogodził, rzucał w niego to szklanekę z wodą, to widelec, to talerz z zupą, tak iż w kamienicy zwyczajną było rzeczą widzieć parobka poparzoną, pokrwawioną, z sińcami i guzami na głowie i twarzy. Dziwiono się powszechnie, dlaczego Onufer innej sobie służby nie szuka, ale źle płacony, licho żywiony i codziennie poniewierany, mimo to pana swego się trzyma. Ci, którzy na uczciwość i pracowitość parobka z bliska patrzyli, podejmowali się nawet dobre miejsce mu nastęrczyć, ale Onufer odstać od kupca nie chciał. Po każdej nowej krzywdzie widziano go, jak siedząc na schodkach od podwórza gorzko płakał, ale gdy kupiec na niego zawołał, łzy ocierał i znów do roboty stawał.

Tajemnicą tej wytrwałości było niezmierne przywiązanie parobka do dwunastoletniego Julka, chłopca sklepowego, sieroty, który równie poniewierany jak Onufer, miejsca przecież opuścić nie mógł, ponieważ oddany tam został przez opiekuna swego, a zarazem powinowatego kupca N. Jeden ze świadków opowiada, że nieraz widział, jak chłopczyna z płaczem na piersi parobkowi się rzucał i jak Onufer pocieszał, głaskał i całował sierotę, jak go nawet na rękę brał niby małe dziecko. Sypiali też raze na pawlaczu w kuchence, a kiedy parobkowi udało się kilka złotych zasług otrzymać, to buty chłopca do podszewki dawał, choć sam w drewnianych trepach tylko chodził, to mu czapkę kupił, to nawet brudne koszule Julka sam nocami pierał, za uprasowanie ich płacąc stróżce po parę groszy. Sierota też całym sercem do parobka przyrósł, a kiedy widział, że Onufer nad dolą swoją płacze, przynosił mu to parę kawałków cukru, to kilka rodzynków, rzucał mu się na szyję i poty go całował, póki się Onufer nie rozjaśnił.

W niedzielę, dnia szóstego września, to jest w dniu, w którym zabójstwo spełnioną zostało, Julek do opiekuna swego od rana jak zwykle w święto poszedł, parobek zaś obiad zgotował i na stół podał. Pan jego był w wytkowo złym humorze i pod pretekstem, że zupa przesoloną została, ważkę nową z gorącym krupnikiem w twarz parobkowi cisnął, po czym resztę obiadu zjadłszy, na sofkę w stołowym pokoju stojącą dla poobiedniej drzemki się położył. Parobek się tymczasem wyplakał, obmył i ze stołu sprzątać bez żadnej złej myśli przyszedł, gdy jednak dręczyciela swego uspionym zobaczył, złość i żałość w nim zakipiła, chwycił wielki gwicht w kącie pokoju na decymalnej wadze stojący i uderzywszy nim śpiącego w głowę, na miejscu go zabił. W tej właśnie chwili wbiegł na próg powracający Julek i zobaczywszy trupa, który się z sofki na ziemię stoczył, zakrzyknął. Onufer bezprzytomnie ku niemu się rzucił, za szyję chłopczynę chwycił i trzymanym jeszcze w rękę gwichtem w głowę go ugodził. Krew i mózg

bryznęły wysoko na ścianę, a chłopiec jak stał, tak padł, raz tylko krzyknawszy. Przybyłym w parę godzin po katastrofie przedstawił się następujący widok: Kupiec N. leżał na podłodze martwy, tuż obok wybitej skórą sofki, przy drzwiach zaś mały, rozciągnięty na ziemi sierota z głęboko pękniętą czaszką.

U nóg chłopca leżał współprzynomny parobek, ściskając jeszcze morderczy gwicht w rękę.

Ujęty nie bronił się i do spełnionego podwójnego morderstwa od razu się przyznał. Ma on lat 25, a odznacza się niezwykle silną budową i olbrzymim wzrostem. Gdy mu na sali sądowej przedstawiono poplamione krwią ubranie zabitego chłopca, zachwiał się i padł zemdłony. Publiczność jest niezwykle zajęta tą nader sensacyjną sprawą, o której dalszym przebiegu czytelników naszych poinformować nie zaniechamy"

3.

- A cóż tam z Onufrem? - zapytałam raz starego Jakuba, spotkawszy go na schodach.

Jakub spojrział na mnie z namysłem, tabakierkę dobył i zanurzywszy w niej swoje wyschłe, sękaty palce rzekł:

- Phi!... Cóż ta już Onufrowi! Wczora minął tydzień, jakeśmy go pochowali.

- Jak to? Umarł?

- A umarł.

- I z jakiej choroby?

- Choroby - odrzekł Jakub, z wolna otrząsając szczyptę - to tak akuratnie żadnej nie miał. Przecie mu i felczer pijawki stawiał, i pan doktor mu proszki dawał, to jakby miała być jaka choroba, toby się i pokazała. A tu nic!

Zażył tabakę, zmrużył oczy, pociągnął nosem i tak mówił dalej:

- Tak mu oto błąd jakiś do głowy przystąpił, że umarł.

- I cóż to było?

- Cóż ta miało być! Bieda była i tyle!

Obejrzał się na lewo, obejrzał się na prawo, a potem rzekł:

- Bez te ostatnie czasy to już nawet i pod numerem nie siedział, bo z nim msze aresztanty wytrzymać nie mogły, a co i raz, to dalej go, bijatyka. Aż go wielmożny na osóbkę w komórcie obsadził, tam gdzie te szewcy skład na skóry wprzód mieli. Jak go też wielmożny obsadził na osóbkę, tak się wieszać chciał. Ano dobrze. Ale żeśmy go oderznęli i do ciemnej coś na tydzień poszedł, więc już się tego potem nie chwycił. Ale i tak wskórania z nim nie było. Dzień jak dzień - Ale jak tylko Pan Bóg noc dał, tak do mego Onufra zara błąd przystępuje. Ino chodzi, ino ręce składa, ino cości prawi, a stęka, a płacze, aż ograża człowieka słuchający. A precz się prosi, żeby go na powrót pod numer dać. "Jakże cię pod numer dać - pedam - kiedy cię tam insze aresztanty tłuką?" „A niech mnie ta tłuką - peda - niech i zatłuką, żebym ja aby sam nie siedział!" Ale wielmożny przykazał, coby w komórcie został. Tak patrzę ja raz przez luft we drzwiach, a miesiąc tak stał na niebie jako rybnie oko i cała ona komórka aż biała była od jasności, a tam mój Onufer w kącie, plecami do muru przyparty, w jednej koszuli jak ten świętek stoi, ręce złożone przed sobą trzyma, nogi się pod nim trzęsą jak w zimnicy, a on sam dopieroż tak się modli, tak molestuje, właśnie jakby tam kto przed nim stał.

"O moje dziecko - peda - o moje kochające! Czemuś ty wtedy wyszło w złą godzinę?

O moje dziecko najmilejsze! Toć ja ciebie ubić nie chciał! Toć ja ciebie jak własną duszę miłował!" Patrzę ja, wytrzeszczam oczy, nikogo w komórcie nie ma, a ten się precz trzęsie a modli: „O moje dziecko, odpuść ty mnie - peda - odpuść

ty mnie swoją śmierć niewinną! O moje dziecko najmilsze - peda - kochanie moje najśłodsze!"

Tak ja do niego: „Onufer! Co z tobą?" Tak on nic, tylko patrzy na mnie jak błędny- Tak ja do wielmożnego. Tak i tak, wielmożny panie, tak i tak - pedam - żeśmy to już na niego pobaczenie mieli po onym wieszaniu! Tak wielmożny idzie, patrzy, akuratnie wszystko prawda.

Chłop w jednej koszuli stoi i trzęsie się jak ta osika w boru. Tak wielmożny, że to miłosierne serce ma, zaraz mi kazał świecę wziąć, zapalić i Onufrowi ją z latarką w komórce postawić. Tak się dopiero ono chłopisko układało.

Umilkł i zażył tabaki, po chwili zaś tak mówił dalej:

- Ale mu ta i tak nie plażyło. Jedzenie to i do trzeciego dnia stało, jakem nie zabrał, a prosiętom pana sekretarza nie dał. Tak chłop wychudła, że się tylko skóra poopinała po kościach, a tak szerniał jak ta święta ziemia. Aż go też do lazaretu wzięli. Jak go też do lazaretu wzięli, tak mój Onufer do cna skapiał. Leżeć nie leżał, chorować nie chorował, tylko tak sobie co nieco do głowy dopuszczał, po całych dniach pacierz mówił, w piersi się bił, a już jak wieczór przyszedł, to ino cości po kątach upatrował i do onego chłopaka, co go pono ubił. Jakby do żyjącego gadał i różnie go ta nazywał, że i rodzony ojciec lepiej by nie potrafił. Aż też tak jednej nocy zmarło ono chłopisko w kącie klęczący, Józef, ten czarny, z lazaretu, co go z Szymonem na tapczan z onego kąta niósł, powiadał, że taki był letki jak ten snop omłócony... Aż im dziwno było. Zanurzył dwa palce w tabakierkę i wziął sporą szczyptę utrzęsając z niej po trochu i w palcach ją ważąc.

- A cóż Osmólec? - zapytałam jeszcze.

Stary nie odpowiedział zrazu, ale obejrzał się na lewo, obejrzał na prawo i wzięwszy tabakę, nosem kilka razy czmychnął.

- Iii... Cóż tam taki Osmólec! - rzekł wreszcie. - Takiemu Osmólcowi biedy nie ma! Trzeci raz tu już siedzi, więc jest we wszystkim człowiek znający. Ano wziął go teraz wielmożny do siebie, do kredensu...

TYTUŁ: Miłosierdzie gminy

AUTOR: Maria Konopnicka

Dziewiąta dochodzi na zegarze gminy. Przez lekką mgłę poranną przebijają ciemniejsze, lazurkowe gołębie, zapowiadając cudowną i cichą pogodę.

Przed kancelarią snują się, gromadki, oczekując przybycia pana radcy Storchy, którego szary filcowy kapelusz i laskę ze srebrną gałką widać przed bliską kawiarnią Gehra, u stolika pana sędziego. pokoju, czytającego tu przy cienkiej kawie swój poranny, dziennik. Pan radca może przybyć lada chwila; tak przynajmniej sądzi woźny, stojący w półurzędowej postawie na ganku kancelarii i odpowiadający na pozdrowienia przechodniów przytknięciem dwu palców do granatowej z białą wypustką czapki:

Od strony kawiarni Gehra dolatują rześkie głosy obu rozmawiających panów. Pan radca zatrzymał się tylko na chwilę, nie siada nawet, ale rozmowa z panem sędzią bawi go widać, gdyż słycać od czasu do czasu jego śmiech swobodny, wesoły, któremu odpowiada krótkim naszczekiwaniem pyszny brunatny seter, w postawie sfinksa u stolika leżący.

Tymczasem ludzie przed kancelarię przychodzą, pozdrawiają się

wzajem i stają gawędząc niedbale. Niektórzy idą wprost do kancelarii, inni przysiadają na kamiennych, połączonych luźnym łańcuchem słupkach, które niewielki, żwirem wysypany plac przed gmachem od ulicy dzielą; jeszcze inni zadartsi głowy przypatrują się samemu gmachowi. Jest nowy. Stał wszakże na miejscu dawno zadrzewionym, z którego mu pozostawiono dwa szeroko rozrosłe o łupiącej się delikatnej korze platyny, których żywą zielenią jesienne słońce złocić już nieco zaczęło.

Sam gmach prosty, szary, kwadratowy niemal, ma na płaskim dachu niską, żelazną balustradę o złożonych gąłkach, a na fasadzie cztery pilastry i pamiątkową tablicę z napisem. Napis ten; błyszczący wesoło złoceniem swych liter, przyciąga oczy ludzkie. Każdy prawie z przybyłych podnosi głowę i odczytuje go z powagą. Alboż nie ma prawa? Wszak każdy na wzniesienie kancelarii dał swoje trzy grosze, a dom jest wspólną własnością i wspólnym dziełem gminy. Nie mniej przyciąga oczy zegar, umieszczony w samym ostrzu trójkąta opierającego się podstawą o płaskie kapitele pilastrów, tylko że wskazówki jego zdają się dziś wolniej jakoś poruszać po okrągłej i błyszczącej tarczy. Tak przynajmniej mniema właściciel bliskiej piwiarni, który co chwila dobywa swoją wielką srebrną cebulę konfrontując ją z zegarem gminy! Miły Boże; po co się człowiek ma śpieszyć. Czas i tak leci

Już tylko parę minut brakuje do dziewiątej; gromadki zaczynają się ściągać przed sam ganek kancelarii, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Nie ma w tym zebraniu nic uroczystego: jak kto przy robocie stał, tak przyszedł. Zwyczajnie, za interesem.

Codziennie „joppy” szarzeją się na grzbietach; rzeźnik Wallauer przyszedł w różowym dymkowym kaftanie, Jan Blanc, rymarz z Hösehli, w zielonym kitajkowym fartuchu, spiętymi na mosiężną haftkę z łańcuszkiem; wielu mimo rannego chłodu stawiło się na zebranie w kamizelkach tylko; wdowa Knaus, jak szła z targu, tak wstąpiła z koszykiem ogrodowizny i z nową szczotką pod pachą. A cóż? Wszak tu wszyscy swoi:

Nareszcie na kwadratowej wieżycy Nowego Münsteru zaczynają bić kwadranse, a jednocześnie daje się słyszeć radosne szczekanie wyżła biegnącego u nóg pana radcy. Wyprzedza go, wraca, znowu go wyprzedza, znów w paru susach wraca, aż weszli razem w wybornych humorach w otwarte drzwi kancelarii. Zaraz ' za nimi zaczynają wchodzić czekające przed gmachem gromadki.

Wchodzą i w sieniach już dzielą się na dwie partie: ciekawych i interesowanych. Interesowani przepychają się zbitym szeregiem do żółtych drewnianych balasków, dzielących salę na część urzędową i nieurzędową, ciekawi idą wolniej i obsiadają ławki biegnące dokoła pod ścianą.

Nie jest to rozdział stanowczy

To z jednej, to z drugiej strony co i raz miano sobie coś do powiedzenia; czasem też który z ciekawych ściąga się nagle interesowanym i u balasków miejsca sobie szukał. Człowiek może się namyśleć i w ostatniej chwili.

Ineresowanych jest mniej; ci mają ważniejsze stanowisko w sali. Jest

tu powroźnik Sprüngli, który się niedawno z wdową ożenił i warsztat chciał rozwinąć; jest Kägi Tobiasz, właściciel piwiarni „Pod Zieloną Różą”; jest piekarz Lorche; jest oberzysta z Mainau; jest Dödöli, właściciel winnic; jest Wetlinger Urban, słodownik; jest Tödi Mayer, ślusarz; jest kotlarz Kissling; jest ogrodnik Dörfli, jest stolarz Leu Peter i kilku innych jeszcze.

Każdy z nich potrzebuje posługi to w warsztacie, to w domu; to w roli. Każdy też woli, że mu to taniej przyjdzie, niż gdyby parobka zgodził. Porozpierali się u balasków i gwarzą z cicha. Wdowa Knaus także się między nimi rozparła. Od czasu jak się syn ożenił, na imię boskie nie ma się kim w domu pchnąć. Jest przy tym miłosiernego serca i chętnie by biedotę jaką wzięła, żeby tylko posługę z tego niezgorszą mieć można. No i żeby dopłata nie bardzo marną była. Nie może przecie niedołęgi darmo do domu brać. Gmina zresztą ma fundusze na to, żeby za biedaków, co już robić nie mogą, płaciła. Żebrać przecież nie pójdą, nie wolno. Czy tylko będzie w czym wybrać? Pod jesień słabnie to jak muchy. Wolałby babę. Phi! weźmie i dziada, jak baby nie będzie. Aby od biedy, aby od biedy! A czy to mało tej hołoty w gminie? Tygodnia nie ma, żeby do kancelarii nie ściągnęła jaka mizerota, której się zdaje, że już nie poradzi robocie. Nieprawda! Takiego dobrze docisnąć, to i za młodego obstanie od nagłego razu. A i to błogie, co tam gmina doda. Nie raz, nie dwa jeszcze taki swego nie przeje, a już go śmierć ściśnie. Hoppingerom się trzydzieści, franków po starej Reguli zostało, co ją na wiosnę z kancelarii wzięli. A Egli? Egli więcej niż w parobka w Alojza orał, a jeszcze połowy zapomogi nie wydał, kiedy stary zipnął Pan Bóg miłosierny niczyjej krzywdy nie chce!

Tu wdowa wzdycha, a czarny kamlotowy kaftan podnosi się z szelestem na jej szerokich piersiach.

Ale jeden i drugi ogląda się ku drzwiom. Czemu nie przyszedł Probst? Spodziewano się, że pierwszy do licytacji stanie, a jego dotąd nie ma. Ucicha nareszcie w sali; a pan radca podnosi głowę od biurka, przy którym stojąc czytał papier jakiś.

Jest to młody jeszcze, przystojny i okazały szatyn, którego niewielka łysina niemal że nie szpeci wcale. Twarz ma mięsistą, okrągłą, wąs rudawy, spojrzenie otwarte, jasne. Ubrany z pewnym wykwintem, u szwajcarskich urzędników niezwykłym. Szczególniej uderza śnieżny gors u koszuli, na którym błyszczą drobne złote spinki Podniósłszy głowę pan radca oczy mruży i znad złotych okularów po obecnych patrzy W tej chwili właśnie woźny drzwi zamyka. Zdaje się, że już nikt więcej nie przyjdzie.

- No, moi panowie - odzywa się pan radca przeciągając palcem tłustej białej ręki pomiędzy przyciasnym kołnierzykiem a pełną, nieco nabrzmiąłą szyją - no, moi panowie, mamy dziś, jak wiecie, posiedzenie sekcji dobroczynności w gminie. Czy tak?.

- Tak, talk! - odzywa się kilka głosów w sali.

- A więc, moi panowie - dodaje radca zapuszczając palec między kołnierzyk a kark kładący się na nim fałdą tłustej skóry więc możemy zaczynać!

- Tak, tak! - odzywają się ponownie głosy. Ale pan radca, świeży

urzędnik z wyborów, nie lubi tracić sposobności do małych przemówień, które by gruntowały popularność jego. Chrząka tedy i oparłszy obie dłonie na pulpicie swego biurka tak rzecze:

- Wiadomo panom, jak opiekuńcze są ustawy gminy. Wiadomo panom, że gmina nie, dozwala cierpieć nędzy żadnemu z członków swoich. Ociera łyzy, odziewa nagich, karmi głodnych, bezdomnym daje dach nad głową, słabych wspiera.

Tu czując, że mu się ten frazes udał, robi krótką, lecz znaczącą pauzę. Obejmuje potem oczyma obecnych i tak mówi dalej:

- Ustawy gminy są ustawami chrześcijańskiego miłosierdzia, są one nie tylko naszą zdobyczą cywilizacyjną, ale naszą chlubą. Tak jest, panowie, one są naszą chlubą! Wiadomo panom, że młodość nie trwa, siły opuszczają, choroba i bieda łamie. Jest to powszechne prawo, któremu ulega świat cały. Ale nasza gmina podejmuje walkę z tym prawem. W jaki sposób? W bardzo prosty: przygarnia tych, których skrzywdziło życie, przygarnia nędzarzy i wydziedziczonych, przygarnia kaleki i niemocne starce!

Tu pan radca dziwi się, że mu tak dobrze idzie, i znów robi pauzę. Żał mu po prostu, że słucha go tak mała garstka ludzi. Taka mowa, wypowiedziana na jakimkolwiek dużym zebraniu; zrobiłaby mu imię, Za czym z wysoka rzuca okiem na salę i tak kończy:

- Tak jest, moi panowie! Gmina przygarnia ich i godząc rozumną rachubę z porywami serca mówi: Starzec ten, nędzary ten, ten kaleka nie może już wyżyć ze swej pracy. Owszem, nie może już pracować. Nie ma on rodziny, która by go żywić mogła; lub też ma rodzinę biedną, której praca ledwo starczy, by głodu nie zaznać.. Mamże go puścić, żeby się włóczył po drogach jako wstrętny żebrak Nigdy. Potrząsa głową energicznie i podnosząc głos mówi:

- Woźny, wprowadź kandydata!

Woźny przechodzi szerokim krokiem salę i znika we drzwiach bocznych, do małej komórki, służącej niekiedy za kozę, wiodących; między zebranymi szerzą się półgłosne szmery, a pan radca stoi z podniesioną ręką, żeby nie wychodzić z pozy. Upływa krótka chwila. Nagle w drzwiach bocznych ukazuje się naprzód głowa, dygocąca na cienkiej, wychudłej szyi, potem kolana ku przodowi zgięte, potem stopy resztką obuwiu ozute, potem ręce zgrabiałe i drżące, które się uszaków drzwi z obu stron chwytają, żeby dopomóc nogom przez próg, a wreszcie grzbiet w pałąk zgięty. Jest to Kuntz Wunderli, stary tragarz, którego wszyscy znają.

W sali zapanowuje szmer głośniejszy nieco.

- To kandydat? Na miłosierdzie boskie, cóż to za kandydat? Któż to weźmie do siebie takiego trupa? Co za pomoc z tego komu? Co za wyreka? No, no! Ciekawa rzecz, co też gmina dać myśli za wzięcie tego próchna! A toć to skóra i kości! Nic więcej!

Niezadowolone się wzmagają. Są tacy, którzy od razu sięgają za czapki i od balasków odchodzą

Ale pan radca na szemry te nie zważa i za ledwie Kuntz Wunderli ukazał się we drzwiach, tak mowę swą kończy:

- Tak jest, moi panowie! piękne nasze ustawy wygnały z ziemi naszej zebraninę, a wprowadziły do niej miłosierdzie. Nie ma już

opuszczonych! Nie ma już nędzarzy! Gmina jest ich matką, gmina jest ich żywicielką. Oto jest starzec niezdolny do pracy. Kto z panów chce go wziąć do siebie? Niejedną posługę mieć można jeszcze z niego. Gmina nie wymaga, by jej członkowie czynili to darmo. Gmina gotową jest, podług ustaw swoich, przyczynić się do utrzymania tego starca. Kandydacie, przybliź się! Panowie, przy patrzcie się kandydatowi!

Skłonił głowę i dobywszy fular otarł nim czoło. Łatwo się pocił, a w sali stawało się gorąco.

Tymczasem Kuntz Wunderli, popchnięty nieco z tyłu przez woźnego, wydobywa się szczęśliwie zza drzwi i przy progu staje. Pełne światło z otwartego, na obszerną ławkę okna pada teraz na jego zgarbioną i znędzniałą postać. Stoi tak przez chwilę, mnąc w rękę stary pilśniowy kapelusz, a chude kolana drżą mu coraz silniej. Jest wzruszony. Nagle prostuje się; podnosi głowę i z uśmiechem na obecnych patrzy.

Uśmiech ma zachęcający, wesoły prawie. Kuntz Wunderli nie wie, kto będzie panem jego. Uśmiecha się tedy do wszystkich i rażno mruga oczyma. Oczy te są zimne; osłupiałe i stroskane. Stary Kuntz usiłuje im wszakże nadać filuterny, niemal lekkomyślny wyraz. Gdy mu się jedno zmęczy i staje w ciemnym, swoim dole nieruchome, martwe, mruga drugim, jak gdyby chciał mówić: „Jeszcze ja mocny! O, i jaki mocny! Chleba darmo nie zjem, pracować będę, każdej robocie poradzę. I wody przyniosę, i dREW ułupię, i kartofli naskrobie, i izbę zamiotę... Dużą siłę mam jeszcze... dużą siłę...

A gdy tak patrzy z wysiłkiem, stara jego głowa coraz silniej trząść się zaczyna, oczy nieruchomieją i zachodzą wielkimi łzami a ręce szukają podpory. Jedne tylko wąskie i zapadłe usta uśmiechają się, ciągle się uśmiechają. Wtedy nawet, kiedy dwie łzy ciężkie i zimne toczą się zwolna po zmiętej i zbrudzonej twarzy.

Ten, to ów zaczyna mu się przyglądać. Istotnie stary wygląda wcale jeszcze dobrze. Dziś rano ogolił się właśnie; woźny pożyczył mu brzytwy. Leży to w interesie gminy, żeby taki kandydat jak najlepiej i najraźniej się przedstawiał. Inaczej mógłby nie znaleźć, wcale amatora. Nie tylko więc woźny pożyczył mu brzytwy, ale starego kubraka i niebieskiej chustki na szyję, które po licytacji znów sobie odbierze. Stary Kuntz umie to cenić. Wie on, jakie pobudki miała gmina w tak łaskawie udzielonej mu pomocy, i rad by przede wszystkim uwydatnić te piękne szczegóły swojego ubrania. Ale rękawy kubraka są na niego przydługie; sam kubrak, zbyt obszerny, wisi na nim raczej, niżli go odziewa, a bujny, niebieski ba wełniany fontaż dziwnie się sprzecza z jego wyschlą, pomarszczoną w tysiące nzwów szyją, którą Kuntz to wyciąga, to chowa, nie wiedząc, jak lepiej przedstawi się chustka. Właściwie mówiąc, jest w trudnym położeniu.

Trzeba mu i litość wzbudzić, i nie okazywać się zbyt niedołężnym. Wie on, że stoi tu w charakterze starca nie mogącego pracować, ale wie także, iż każdy z tych, co tu przyszedł, na jego ręce patrzy, czy się roboty chwycą. Gmina ma nad nim miłosierdzie prawda, ale zbyt wiele dopłacać za niego nie zechce. On to wie, wie dobrze; zbyt wiele wymagać nie może... Zmieszany, wzruszony patrzy ludziom po

oczach, miarkując; co który myśli: na woźnego też rzuca w bok krótkie spojrzenia, jakby dla úupewnienia go, że ani brzytwa, ani kubrak, ani chustka nie pójdą na marne.

Ludzie patrzą na starego i gawędzą głośno. Nie leży to w interesie żadnego z nich, żeby okazywać zbyteczny pośpiech. Staliby tak do południa może, porozpierani na balaskach i biorący tabakę, ale pan radca nie lubi przewlekłych posiedzeń.

- No, moi panowie - odzywa się on głośno. - Czy przypatrzylście się kandydatowi?

- A cóż mu się tam przypatrywać - odpowiada po małym milczeniu kotlarz Kissling. - Toć my go co dzień. widzimy. Stary ledwo dycha, nie uciągnie, nie dźwignie... Jak myślicie, szwagrze zwrócił się do Faustyna Tröndi - będzie miał z osiemdziesiąt albo i więcej? Stary chrząknął. Osiemdziesiąt dwa skończył, osiemdziesiąt dwa... Ale uśmiecha się tylko i milczy.

- Ile macie lat, stary? - pyta go Tödi Mayer.

Kuntz szybko mruga ku woźnemu okiem, a potem mówi:

- Siedemdziesiąt i cztery, kochanku! Siedemdziesiąt i cztery!

- A pokaż no, stary, zęby!! - odzywa się oberżysta z Mainau. Kuntz znów rzuca szybkie spojrzenie na woźnego i rozszerzywszy zeschłe wargi ukazuje wcale jeszcze zdrowe zęby.

Publika zaczyna się śmiać.

- Ho! ho! - mówi jeden - a to by i kość ugryzł.

- Chleba się nie złęknie - dodaje drugi.

Leu Peter, stolarz, przechyla się ku niemu.

- A machnij no, stary, pięścią! Dalej!

Wunderli postępuje krok naprzód, podnosi nieco głowę, prostuje grzbiet i macha kilka razy ręką, której ściśnięta pięść ginie w długim rękawie pożyczonego kubraka. Ręka opada mu za każdym razem jak złamana gałąź. W stawach słychać trzask przykry.

- A co? Nieźle macha! - odzywa się ktoś z ławy.

- Phi!... - dodaje pesymistycznie drugi, wiedząc, że uwagi galerii nigdy nie są dla interesowanych stracone.

- A jakże nogi? - pyta znów Tödi Mayer, który widocznie na Kuntza ma ochotę. - Maszeruj no, stary!

Ale stary miesza się widocznie. Nogi, to właśnie najsłabsza jego strona. Ba! gdyby nie nogi!... I nawet nie tyle nogi, co kolana... Na samą myśl o wyprostowaniu już mu w nich coś strzyka... Ale Kuntz Wunderli nie zawiedzie gminy. Z najwyższym wysiłkiem unosi jedną stopę i stawia ją natychmiast na tym samym miejscu. Nie... nie... pomylił się. To nie ta! To gorsza! Podnosi tedy drugą, lecz jeszcze szybciej spuszcza ją z głośnym syknieniem. Co u diaska! Czy to nie tamta? Czyżby ta właśnie była gorszą?

Interesowani marszczą się i milczą Galeria, która z ławek po wstawszy podeszła do balasków, zaczyna się śmiać głośno.

- Dalej! Dalej? - wołają. - Maszerować! Maszerować, stary!

Pan radca surowo spogląda na śmiejącą się galerię, po czym zwrócony do starego mówi z odcieniem niecierpliwości:

- Czegóż stoisz? Ruszże się z kąta?

Kuntz Wunderli uśmiecha się nieśmiało, boleśnie. Zaraz, zaraz...

Naturalnie! Czegóż on stoi? Zaraz się ruszy... Zaraz...

I nagle, zebrawszy siły, podnosi głowę, wytrzeszcza spłowiałe oczy, wyciąga jak żuraw szyję; prostuje się, przyciska rękami kolana i ku drzwiom maszerować zaczyna.

Jest to widok tak pocieszny, że całe zgromadzenie wybucha głośnym śmiechem. Stojący bliżej przy ławach padają na nie, chwytając się za boki, pan radca zasłania usta trzymaną w ręku ustawą, a woźny odwraca się do kąta i parska w kułak.

- Dobry! Dobry! - wołają głosy z ławek.

- Dalej! Dalej! - odpowiadają inne.

Stary idzie. Sztywne jego nogi nie zginają się wcale: podnosi on je jak kij z niezmiernym wysiłkiem i opuszcza na dół, rozpaczliwie przyciskając rękoma chore i obrzmiałe kolana. Tymczasem, jakby na złość, sala wydłuża się, rośnie, drzwi uciekają kędyś, ściany nabierają przeraźliwej głębi; staremu Kuntzowi zdaje się, że nigdy, nigdy nie zdoła dojść aż do nich... Czuje wszakże, iż wszyscy ci ludzie na niego patrzą, że - gmina patrzy. Zaciska tedy zęby i znów podnosi sztywną i ciężką nogę.

Nagle staje i szeroko otwiera osłupiałe oczy. U drzwi, w gromadzie głów ludzkich widzi głowę syna.

Tego się nie spodziewał. Nie, nie! Tego nie...

Ciemna czerwoność bucha mu na twarz resztką krwi spod serca.

Nie słyszy śmiechu ludzkiego, nie słyszy nawet głosu pana radcy, który go na miejsce woła. Widzi tylko syna.

Jak urzeczony patrzy na niego i zaczyna drżeć jak na wielkim; wielkim zimnie; wszystkie jego stare kości dygocą. Struchlała twarz blednie, bieleje, staje się biała, bardzo, bardzo biała. Na czole rysuje się dziwnie twarda i surowa bruzda; oczy jego zapalają się i gasną.

Niepocieszone, martwe, stroskane, z dziwem i strachem patrzą się w twarz syna. Nie, nie, on nie chce, żeby go syn licytował w gminie...

On nie chce!

Kurczy się, odrywa ręce od kolan i zastawia się nimi Nie, nie! On się boi! On nie chce!

Ale woźny przystępuje i bierze go za ramię.

- Go u diabła? Czego stoi jak głupi? Czy nie widzi, że urząd czeka?

Dalej naprzód!

Stary Wunderli jest wszakże w tej chwili tak słaby, ale to tak słaby jak dziecko. Po prostu: ruszyć się nie może. Nogi mu się plączą, zęby szcękają, głowa się chwieje jak ten liść jesienny. Woźny popycha go przed sobą, a także podtrzymuje nieznacznie. Gdyby go nie podtrzymawał, stary upadłby może. W duchu nie ma on wielkiej nadziei, żeby starego gmina łatwo pozbyć się mogła. Te raz widzi, że i brzytwa, i chustka, i kubrak - tak jak na nic. . Zupełnie jak na nic.

- Prędejj! - woła niecierpliwie pan radca.

Kuntz Wunderli opamiętywa się jakoś i znów staje na poprzednim miejscu. Jest ono dobrze wybranym. Z szeroko otwartego na ogród okna pada na nędzarza pełne, złote światło. W świetle tym zmartwiała twarz starego nabiera nieco życia Na łysej jego czaszce igra odbłask cichej i modrej pogody. Osłupiałe źrenice podnoszą się i zawieszają kędyś daleko; na szerokim słonecznym błękanie.

- Kto wie? Może i nieźle byłoby, żeby się syn utrzymał. Kto wie? Synowa zła i skąpa, to prawda. ale umarłby wśród swoich przynajmniej. I wnuki... widziałby co dzień wnuki. .

Żrenice starego wilgotnieją, stają się miękkie i rzewne; na ustach drży jakieś niewymówione słowo, wielka surowa zmarszczka na czole wygładza się i znika.

Stanowczo nie wygląda w tej chwili na więcej jak siedemdziesiąt cztery. To ożywia nieco interesowanych.

- Nietęgi w nogach! - mówi kręcąc głową piekarz Lorehe.

- Co to nietęgi! - prostuje ktoś z ławy.

- On nas jeszcze wszystkich przeskoczy! - dodaje inny.

- Zuch stary! - woła trzeci.

- Jakże myślicie, szwagrze? - pyta półgłosem Tödi Mayer swojego sąsiada.

- A cóż? ja bym brał. Kiepski w nogach, ale w warsztacie posłuży.

- Ani bym na to chuchro nie spojrział - mówi Dödöli - gdyby tu był inny.

- A co ? w domu i to się przyda - perswaduje Kissling.

Pan radca bystrym okiem po obecnych wodzi. Chwila wydaje mu się odpowiednią do zagajenia licytacji. I tak sprawa ta przeciągnęła się nad miarę dzisiaj. Za dużo było ciekawych.

Dobrym zegarek, podnosi go blisko do oczu, porównywa ze ściennym zegarem gminy i skinąwszy na woźnego rzecze pełnym inicjatywy głosem:

- Moi panowie, kończymy! Kandydat, przedstawiony wam przez sekcję dobroczynności gminy, ze wszech miar zasługuje na waszą uwagę. Zdrow jest, niezbyt podeszły w latach; siły dobrze mu służą i do każdej lżejszej roboty przydać się w domu może. Kto z panów reflektuje? I z jaką dopłatą?

Cisza nastaje po tych słowach pana radcy. Jaki taki liczy się z, potrzebą posługi i z groszem.

Sprüngli porusza się i przestępuje z nogi na nogę. Zauważył to pan radca i skłaniając się uprzejmie w stronę powroźnika rzecze:

- Moi panowie, pan Sprüngli zaczyna. Panie Sprüngli; prosimy! Jakiej dopłaty żądałbyś pan od gminy za przyjęcie w dom swój kandydata?

- Dwieście franków! - rzecze powroźnik i urywa niepewny, czy nie zażądał zbyt mało:

- Co? Dwie-ście fran-ków? - pyta udając zdumienie pan radca. Po czym zatrzymuje się na chwilę: - Moi panowie! Nic nie byłoby dla mnie miłszego nad taki stan finansów gminy, który by sekcji jej dobroczynności pozwalał na podobnie kolosalne wydatki. Gdy jednak tak nie jest, musimy to uwzględnić i stawiać przystępniejsze cyfry. I namyślcie się, panie Sprüngli? Jakże, moi panowie? Widzieliście, panowie, zęby kandydata? to człowiek silny jeszcze!

- I cóż tam, zęby! - odzywa się oberżysta z Mainau. - To gorzej jeszcze, że zdrowe! Jak się stary rozje, to go nie natkam, a do roboty nie stanie.

- Oho! nie ma biedy! Już my go napędzimy! - mówi Kāgi mrugając zezowatym okiem.

- Ja? - obrusza się oberżysta. - Ja na dziecko nie zakrzywię palca! -

- No, no! - odpiera Kägi. - Potraficie w parobka orać!
- Wy co? Czy to ja Probst jestem?
Roześmieli się obaj.
- Kto tam wie, czy i Probst winien! - rzecze Kissling. - Dziad napijał się może...
- Jako żywo! Nikt go pijanym nie widział - zaprzecza Lorche.
- Ale to tam nie Probsta robota, tylko żony! Żona jęcza..., odzywa się głos z ławy.
- Baba spod ciemnej gwiazdy! - dorzuca ktoś z kąta.
- Jak było, tak było - mówi Sprüngli - dość, że się stary Hänzli u niego powiesił...
- Musiało mu być słodko..
- Jak to? - woła rzeźnik Wettinger. - To ja takiego będę żywił, odziewał, dach nad głową dawał za ten marny grosz z gminy, a do roboty nie będzie mi go wolno napędzić?
- No tak... Ale zawsze. .
- Moi panowie - przerywa pan radca - przystępujemy do ukończenia tej sprawy. Czas urzędowych osób jest ograniczony. Pan Sprüngli podał dwieście franków. Kto z panów licytuje in minus?
Cisza.
- Kto z panów licytuje? - pyta ponownie pan radca. - Panie Sprüngli, namyślcie się, proszę.
- Jużem się namyślił - rzecze Sprüngli. - Mniej nie mogę niżli dwieście franków.
Pan radca odwraca się od niego.
- Kto licytuje, panowie? Kto licytuje?
- Sto osiemdziesiąt pięć wezmę! - mówi zwolna, cedząc zgłoski piekarz Lorche. - Ale niech przynajmniej tę zimę w ubraniu swoim chodzi. U mnie ciepło.
Stary Wunderli spogląda po sobie najpierw, potem po sali i nagle drzeć zaczyna. Wydaje mu się, że mróz już mu kości sięga. W swoim ubraniu? Cóż on za ubranie ma? Alboż on na ubranie zarobić mógł grosz jaki? Na chleb zaledwie mógł zarobić, a i to z ciężkością. Bluzę płócienną ma, łataną bluzę tylko. Jak tu zimę w tym przebyć? Co to za ubranie?..
- Sto osiemdziesiąt z tym samym warunkiem! - odzywa się grubym głosem Dödöli, właściciel winnicy.
- Z tym samym warunkiem? - myśli stary Kuntz, a nędzne jego nogi dygocą coraz silniej. - Miłosierny Boże! Po cóż tu jakie warunki? Wszak stoi tu jak ten Łazarz przed ludźmi... Cóż tu za warunki?..
Po oświadczeniu Dödölego znów się cicho robi. Pan radca stoi jak na szpilkach.
Chwilę bawi się koralowym brelokiem, po czym zmuszając się do uprzejmego tonu mówi:
- Dalej, moi panowie! Dalej! Kto licytuje?
- Sto siedemdziesiąt i pięć! - mówi dobitnie Tödi Mayer. Potrzeba mu na gwałt parobka. Robota aż kipi w domu.
- Sto sześćdziesiąt! - woła ktoś nagle z kąta.
Obejrzano się: nie dowierzano sobie. Zazwyczaj opuszczano po pięć franków, po siedem zresztą Ale żeby ktoś o piętnaście od razu mniej

chciał brać, teko przykładu nie było.

Sam pan radca spogląda ciekawie w kąt sali; stary Kuntz także podnosi głowę i patrzy:

Z boku nieco, bliżej drzwi, poza ramionami licytantów, u balasków rozparty stoi syn jego, z krótką fajką w zębach. Za rękę trzyma najmłodszego chłopca.

Stary otwiera usta i patrzy z mieszaniną strachu i nadziei.

Syn przeciska się do balasków, wyjmując fajkę i w pierwszym rzędzie staje z podniesioną głową. Nikt mu tego za złe nie bierze.

Dzieciaków gromadę ma, sam ciężko pracować musi. Jedna gęba więcej u miski to duża rzecz tam, gdzie i ci, co do niej siedli, nie zawsze się najedzą. Trzymać ojca darmo nie może. Bóg widzi, jako nie może! Ale z tym, co gmina doda, spróbuje. Nie wymaga wiele. Od razu trzy razy tyle opuszcza, co ktokolwiek z obcych. Zarabiać na gminie i na starym nie chce. Niech tylko mu się własny grosz, choćby i niecały, powróci ,

Wszyscy to rozumieją doskonale; każdy by z nich zrobił to samo.

Człowiek się tak jak każda rzecz zużywa, a zużyty cięży. Kto na to ma, może i dziada żywić, a nie dopiero ojca, ale kto nie ma na to, jużci, kraść nie pójdzie. Jest to rzecz jasna jak słońce.

A jednak od tej rzeczy jasnej jak słońce pada jakiś posepny cień na wszystkie czoła. Ludzie bokami patrzą, jakby nie chcieli, nie mogli spojrzeć sobie oko w oko. Cisza trwa dłużej niż zwykle. W ciszy tej słyhać ciężkie, do jęku podobne westchnienie starego Kuntza.

Pan radca bystro pogląda po ludziach. Widocznie syn się utrzyma.

- A więc, moi panowie - zagaja przemilczawszy nieco a więc utrzymuje się ostatnia oferta: sto sześćdziesiąt franków! Cieszy mnie, bardzo cieszy.

Tu urwał. Właściwie nie wie, co go tu ma cieszyć. Tego, iż cieszy się, że sobie wszyscy raz do licha pójdą, nie może im przecież tak w oczy powiedzieć.

Ale przemowa ta okazuje się przedwczesną.

- Sto pięćdziesiąt i pięć! - podbija syn Tödi Mayer i ociera czerwoną bawełnicą szerokie, spocone czoło.

Syn cofa się w milczeniu od balasków i rozdmuchuje przygaszoną fajkę. Ale dziecko, które za rękę trzymał, spostrzega w tej chwili starego.

- Dziaduś! Dziaduś! - woła cienkim, przenikliwym głosikiem:

Stary wnuka nie widzi, słyszy go tylko, rzewny uśmiech rozszerza jego zwiędłe wargi. Potrząsa radośnie głową i robi ruch taki, jakby brał, tabakę. Idzie to jakoś, dzięki Bogu idzie. Wszystko jeszcze może być dobrze!

- Sto pięćdziesiąt! - woła syn.

Ale Tödi Mayer ustąpić nie myśli. Zaperzył się; był z tych, którzy się rozpalają do każdej stawki. Cóż syn? Syn go mógł darmo trzymać.. Za pieniądze gminy każdy teraz dobry, każdy ma prawo.

- Sto czterdzieści i pięć! woła podniesionym głosem.

Syn przechyla głowę i Patrzy na Tödi Mayera z wysoka lekko zmrużonymi oczyma.

Namyśla się chwilę, po czym macha obojętnie ręką. Nie może

ryzykować więcej. Zrobił, co do niego należało, ale ryzykować nie może. Jego czarna o prostych włosach głowa i twarz kwadratowa, drewniana cofa się z szeregu, a wysoka, koścista, nieco pochylona postać posuwa się ku drzwiom wskroś ciżby.

Stary patrzy za nim. Jest niespokojny, otwiera usta i wyciąga szyję, lewa powieka zaczyna mu drgać nerwowo. Wygląda teraz staro, bardzo staro. Tödi Mayer miarkuje, że nieświeży zrobił interes, i szepce z kumem Spenglerem.

Tymczasem pan radca uderza dłonią w biurko, przy którym stoi.

- A zatem - odzywa się dźwięcznym, jasnym głosem -- sto czterdzieści i pięć franków! Po pierwsze... po. .

- Za pozwoleniem! - przerywa nagle Tödi Mayer. - Czy tylko jopa należy istotnie do starego?

Pan radca marszczy piękne, gładkie czoło.

- To nie może wchodzić w zakres roztrząsań gminy! - rzecze z godnością, a woźny odwraca się do kąta i kaszle głośno.

- Jak to nie może? - ujmuje się za sąsiadem Spengler. - Gmina musi wiedzieć, co daje, a ten, kto bierze, musi wiedzieć, co bierze To jasne!

- Jopa twoja? - pyta Tödi Mayer zwracając się bezpośrednio do starego Kuntza.

Ale stary Kuntz nie słyszy.

Lewa jego powieka drży coraz silniej, spojrzenie słupieje. Widzi, jak syn oddala się i jak znika we drzwiach. W chwilę potem widzi go jeszcze raz przez otwarte okno i słyszy szczebiot dziecka Ida...

Przeszli.

- Stary opuszcza głowę i trzęsie nią w milczeniu. Potem ściska powieki z całej, z całej siły. Coś mu żre oczy; słonego coś; gorzkiego... Żre i pali...

- Słyszysz, stary? - powtarza Tödi Mayer głośniejszym głosem. - Pożyczył ci kto jopy czy własna?

Usłyszał wreszcie. Miesza się, spogląda po sobie, zaczyna szybko mrugać czerwonymi oczyma i rzuca ukradkiem spojrzenia w kąt, gdzie woźny stoi.

Tödi Mayer uderza pięścią w balaski.

- Ależ to oszukaństwo! - wybucha gniewnie.

- Tak! Tak! - odzywa się kilka na raz głosów.

Szmer rośnie w sali; oburzenie udziela się wszystkim.

- Człowiek ma miłosierdzie - woła Tödi Mayer szeroko rozkładając wielkie czerwone ręce - bierze sobie za marny grosz taki ciężar na kark, ale chce, żeby interes rzetelnie był zrobiony. To trudno!

- Tak! Tak! - potwierdza więcej jeszcze głosów. Ponad wszystkimi słychać głos Spenglera. Na twarz pana radcy bucha płomień gniewu.

- Ściągaj kurtę! - krzyczy na starego, a Kuntz Wunderli z pośpiechem rozpinać ją zaczyna.

Nie idzie to łatwo. Ręce mu się trzęsą, pokurczone palce nie trafiają do guzików od razu; staremu pomaga woźny ściągając ze złością rękawy. Jako urzędnik gminy, czuje się on niemal tak samo dotknięty jak pan radca.

- Kapuściana głowa! Niedołęga! - szepce przyciszonym, zirytowanym głosem, szarpiąc na przemiany to jeden, to drugi rękaw nieszczęsnej

kurty, po której zdjęciu okazuje się cała wyjątkowa nędza zapadłych piersi i wychudzonych żeber kandydata, ledwie co okrytych srodze łątaną koszulą i szczętami letniej kamizelki.

Stary Wunderli drży silnie, częścią z chłodu, a częścią ze strachu.

Wydało się... Co teraz będzie? Wszystko się wydało...

W niezmiernym pomieszeniu podnosi do szyi obie trzęsące się ręce i usiłuje rozplątać misternie przez woźnego zadzierzgnięty fontaż:

- I chustka nie twoja? - krzyczy Tödi Mayer zdjęty ostatnią pasją w swym rozczarowaniu.

- Nie moja. - odpowiada ledwie słyszalnym szeptem Kuntz Wunderli. Woźny wyszarpuje mu ją z ręki.

- Kapuściana... ośla... barania głowa! - mówi przez zęby z naciskiem.

Historia z chustką więcej go jeszcze gniewa niżli historia z kubrakiem: Inicjatorem pożyczki kubraka nie był sam: podsunął ją mimochodem pan radca, zważywszy, iż kandydat był zbyt źle odziany aby się mógł pokazać w urzędowej części sali.

Ale chustka? Chustka była własnym pomysłem woźnego. Sam ją wiązał, włożył w wiązanie to coś z artystycznych instynktów swoich, coś z własnej duszy... Zdejmovanie jej nie było zresztą rzeczą konieczną, nikt chustki nie podejrzewał, nikt nie pytał o nią.

Rozdrażnienie woźnego jest tak wielkie, iż zmiąwszy ten niebieski bawełniany szmatek w obu rękach ciska go ze wstrętem pod wieszadło u drzwi stojące. Nie może w tej chwili dać dobitniejszego wyrazu oburzeniu swemu i swej wielkiej wzdardzie.

Ale Kuntz Wunderli stoi tymczasem przed publicznością zawstydzony, zgnębiony, odarty z uroku. Teraz dopiero można się przypatrzeć jego kolanom, tak ku przodowi wygiętym, że cała postać przysiadła się zdaje, teraz można widzieć jego wykręcone, ciężkie stopy i jasnokościaste łokcie. Najzabawniejsze wszakże wrażenie robi szyja starego. Jest ona tak cienką, że zdaje się, biczem przetrzasnąć by ją można. W ogóle czyni ona starego podobnym do oskubanego ptaka, a to tym bardziej, że nie podparta sztywnym fontaziem głowa wydaje się przy tej cienkiej, zwiędłej szyi niepomierne wielka i ciężka. Opada to na jedną, to na drugą głęboko zakłęśłą jamę obojczyka.

Wesołość teraz wybucha na sali, jedni śmieją się dobrodusznie, drudzy złośliwie, poglądając przy tym na Tödi Mayera. Najlitościwsi kiwają głowami i uśmiechają się z lekka.

- Ecce homo! - odzywa się kotlarz Kissling, który ma brata dozorcę w kantonalnej bibliotece i darmo czytuje książki.

Szeroki wybuch śmiechu przyjmuje to porównanie. Większość mniema, iż jest to przymówka do szczytu wznoszącego się poza Mythenami, Dużym i Małym, który się „Esse liomo” zowie, w przeciwieństwie do sękatego Pilatusa; w zgromadzeniu są tacy, którzy górę tę widzieli z bliska:

Stary nie ma wprawdzie żadnego podobieństwa do jakiegokolwiek szczytu, ale jest to tym śmieszniejsze!

Jeden Tödi Mayer nie bierze udziału w ogólnej wesołości. Okrągłe jego, wypukłe i błyszczące oczy obiegają postać starego nędzarza, jak, gdyby każdą z jego wyschłych i struchlałych kości czyniły

odpowiedzialną za tak wielki zawód. Oczyma tymi świdruje go jak fałszywy szeląg, roztrząsa jak stary łachman, przenika go do ostatniej żyłki; do resztki tchu w piersiach.

- Cofam słowo! - woła wreszcie. - Nie mogę brać tak mało!

- Nie wolno słowa cofać! - rzecze z powagą pan radca.

- Jak to nie wolno? Woźny nie przybił jeszcze. .

- Nie przybił! Nie przybił! - potwierdzają głosy z ławy, po czym ucisza się nagłe.

Wszyscy czekają, jaki obrót sprawa weźmie Pan radca jest niekontent.

Rzuca on na obecnych spojrzenie spod oka, marszczy piękne czoło i ciągnie na dół to jednego, to drugiego wąsa.

- W takich łachmanach nie wezmę dziada i za sto osiemdziesiąt franków! - woła rezolutnie Tödi Mayer czując za sobą zgodę całej sali.

- Ja bym nie brał i za dwieście - popiera go kum Spengler.

- Co to dwieście! To i dwieście dziesięć nie byłoby nadto! Dodaje oberżysta z Mainau.

Stary Wunderli słucha tego i dusza w nim truchleje Co to będzie? A to może nikt i wziąć nie zechce? A potem, dlaczego tyle aż chcą brać? Dlaczego aż tyle?

Wielki niepokój i wielkie zdumienie odbija się w jego nędznej twarzy.

Coraz wyżej podnosi brwi siwe, patrząc w ziemię, a głowa coraz szybszym ruchem opada mu to na jedno, to na drugie ramię.

- No, panie Tödi Mayer! - odzywa się urzędnik pojednawczo - Nie rób pan żartów i kończmy, moi panowie

- Dobrze! - woła energicznie ślusarz - wezmę, ale za równe dwieście!

- Co znowu! Co znowu! - odzywa się tracąc cierpliwość pan radca -

Skąd gmina może takie sumy płacić? Czy panowie myślicie, że gmina siedzi na złocie? Moi panowie, gmina nie siedzi na złocie. Gmina musi się liczyć z groszem. Gmina ma wydatki, duże wydatki!

Miłosierdzie, moi panowie, jest dla niej rzeczą świętą, ale i w miłosierdziu miarę zachować należy!

Jeszcze pan radca nie domówił ostatniej sylaby, kiedy drzwi otwierają się szeroko i wchodzi Probst. Jest to tęgi mężczyzna z grubym karkiem i szeroką czerwoną twarzą. Jego brunatny, rozpięty spencer pokazuje pierś potężnie rozrosłą i kołyszący się na niej łańcuszek ze srebrnych ogniwek Spod niskiego tłustego czoła świecą małe, bystre oczy; rudawe, kędzierzawe włosy zarastają mu głęboko skronie.

Probst idzie śmiało i macha wielkimi rękami, które mu po bokach wiszą zaciśnięte w kułak; miejsca sobie wszakże robić bynajmniej nie potrzebuje, gdyż każdy usuwa się przed nim z pewnym rodzajem respektu. Człowiek jest silny, tęgi, ma spojrzenie ponure i zuchwałe. Z takim nie zaczynać lepiej. Probst dochodzi do balasków, kłania się urzędnikowi i kiwnięciem głowy pozdrawia kilku obecnych.

Pan radca wybaczyć mu zechce... Spóźnił się, ale nie winien temu.

Ten przeklęty parobek, którego po starym Hänzlim wziął, rozchorował mu się jak na złość... Sam dziś mleko rozwozić musiał, a to piekielny kawał z góry i pod górę.

Pan radca słucha przytakując; pozdrowieni uśmiechają się zyczliwie i kręcą głowami.

- Sam rozwozić musiał?.. No, no! Kawał drogi!

Przez otwarte okno słyhać głośnie naszczekiwanie psa, którego wszyscy znają; trzy razy dziennie przybywa on z mlekiem, zaprzężony do wózka pełnego wysokich blaszanek. Probst piękną oborę ma...

Piękną oborę!

I nagle przejmują ich uczucie poważania dla tych tęgich pięści i grubego karku. Spengler odwraca się od Tödi Mayera i na Probsta patrzy; ślusarz czuje się już przez samo przybycie mleczarza jakby na pół pobitym. Patrzy to na jednego, to na drugiego z obecnych niby obojętnie; w rzeczy samej żał mu, że targu nie przybił: Ano da się to widzieć, co będzie!

Ale Probst czasu nie traci. Opiera się ściśniętą pięścią o balaski, wyciąga grubą szyję i skubiąc żółto zarastający podbródek zmrza bure oczy i celuje nimi w starego jak wylotem fuzji.

Kissling i Dödöli trącają się łokciami.

- Jak ten patrzy! Jak ten, bestia, patrzy! Toć chwała Bogu, każdy oczy ma, a nikt tak nimi człowieka nie umie na wskroś brać! Ten się zna!

No, już ten się zna!

Tymczasem izba przybiera całkiem inny pozór.

Czują wszyscy, że przybił koneser. twarze się ożywiają, ci, co siedzieli na ławie, powstają i przystępują bliżej. Chwila zaczyna być naprawdę interesująca Ale Kuntz Wunderli na widok Probsta porusza się niespokojnie, nerwowo. Wie „on, że Hänzli, tak samo z gminy wzięty, po trzech miesiącach powiesił się u Probsta na strychu. Pamięta, jak Probstowa po nim sprzedawała buty. Pamięta też, jak stary Hänzli obtarte miał od szlej ramiona i jak mu u Probsta oczy zapadły, a twarz szerniała i wyschła. Kurczy się stary, głowę w ramiona chowa, przyciska do boków kościste łokcie, staje się małym, bardzo małym, tak małym, że go i niewiele widać chyba. Co prawda rad by się pod ziemię całkiem, całkiem schować. Boi się tchnąć, boi się poruszyć, nawet kolana z wielkiego natężenia dygotać mu przestały.

Ale Probst zna się na tym wszystkim dobrze. Licytuje przecież tych hultajów od sześciu czy siedmiu lat w gminie. Wie on, że taka starota to jak pęknięty garnek: odrutuj, a czasem i za nowy trwa. Bądź co bądź najtańszy to robotnik, jakiego znaleźć można. Czy złością, czy dobrocią zawsze się z niego tyle roboty wyciśnie, ile zej, a co gmina doda, to jakby znalazł.

Sarkają ludzie, że cenę inszym psuje. A co mu tam, byle sobie nie psuł. Niech każdy pilnuje swego, i już.

Przekrzywia tedy Probst w jedną stronę ciężką swoją płaską głowę, przekrzywia w drugą, a potem spojrzawszy bystro w twarz urzędnika rzecze silnym dobitnym głosem:

- Sto dwadzieścia pięć!

Słowa te wywołują silne wrażenie. Najobojętniejsi nawet kręcą głowami z podziwu. Daj go katu! A to i nie spyta, co kto święci, tylko swoją kozerą wali z góry jak armatnią kulą!

W sali robi się wielka cisza, w którą wpada natarczywe, zajadłe szczekanie psa pozostawionego przede drzwiami przy mleczarskim wózku. Stary Wunderli pogląda na lewo i na prawo, jakby szukał

okiem, któredy ma uciec. Nie ucieka wszakże: stoi, jakby skamieniał, jakby wrósł w podłogę. Tylko coraz niżej opada mu dolna szczęka, a oczy otwierają się coraz szerzej.

- Sto dwadzieścia i pięć: - woła Probst raz jeszcze.

Pan radca promieniuje. Chwilę wodzi po obecnych ożywionym wzrokiem, a gdy nikt nie podbija mleczarza, uderza białą ręką, w leżące przed nim papiery i daje znak woźnemu.

- Po raz pierwszy! - mówi woźny stukając laską w ziemię i ucicha.

- Po raz drugi! - mówi głośniejsze jeszcze, a stary Kuntz Wunderli zmruża nagle oczy i kurczy się boleśnie, jakby kij przybijający dzieło miłosierdzia gminy. W niego miał uderzyć.

- I-po-ra-trzeci: - woła razem z woźnym tryumfujący pan radca, W chwilę potem Kuntz Wunderli stoi u dyszla mleczarskiego wózka trzęsąc swą nędzną, starą, siwą głową i usiłując drżącymi rękami przełożyć przez siebie parcianą szleję. Z drugiej strony dyszla rzuca się w podskokach silny kudłaty pies w takiejże upręży, ujadając głośno, donośnie.

Autor: Maria Konopnicka

Tytuł: ZA KRATĄ

I

Kiedym przed piętnastu laty zwiedzała warszawskie więzienia, gmach przy ulicy Złotej nie był jeszcze wykończony, a oddział karny dla kobiet mieścił się razem z takimże męskim oddziałem w tak zwanym "Pawiaku", który wszakże aresztanci i aresztantki z nie znanego mi powodu powszechnie nazywali "Serbią". Pawiak, vel Serbia, jest to posepny żółty dom, z wieloma należącymi do niego budynkami, opasany murem; front jego wychodzi na ulicę Dzielną, tyły zaś na ulicę Pawią, od której i owa ogólniejsza nazwa jest wzięta. U furty tego gmachu stanęłam po raz pierwszy w dzień jesienny, dżdżysty, w towarzystwie jednej z moich znajomych, która, uzyskawszy odpowiednie pozwolenie władzy, dawniej już zaczęła odwiedzać więźniów i cieszyła się nieograniczonym ich zaufaniem.

Trzy czy cztery schodki, do furty wiodące, zaledwie pomieścić mogły kobiety, które się na nich cisnęły z węzełkami, tobołkami, garnuszkami, czekając na tak zwane "widzenie". Kumoszki z miasta, łatwiej zaznajamiające się z sobą, prowadziły nader ożywioną gawędkę, przerywaną głośnymi wyrzekaniami; baby ze wsi przybyłe, odziane w chustki lub fartuchy na głowę, dumały, podparłszy brodę na rękach, wzdychające, zawstydzone jakby...

Widzenie udziela się urzędownie raz tylko na tydzień, w niedzielę; wszakże stan zdrowia uwięzionych lub odległość zamieszkania przybywającej w innym dniu rodziny więźnia uwzględnia się dość szeroko i dlatego też nie ma dnia, żeby schodki owe przez baby obłożonymi nie były.

Poza furką niewielka sień, także najczęściej interesantów czekających pełna; tu w bocznej ścianie znajduje się okienko komunikujące z kancelarią pana inspektora i ułatwiające kontrolę przybyłych. Z sieni tej parę stopni prowadzi na długi korytarz, z którego szereg drzwi wiedzie do kancelarii, do sali widzeń, do niektórych warsztatów, wreszcie do mieszkania inspektora. Wprost wejścia prawie, schody na piętra, z których pierwsze obejmowało podówczas oddział kobiecy. W oddziale było przeszło sto kobiet, mieszczących się w dziewięciu czy dziesięciu tak zwanych "kamerach", których każda ma oddzielne wejście z obiegającego piętro korytarza. Klucz zgrzytnął kilka razy, dozorca otworzył drzwi wszystkie, a kamery ukazały mi jednostajne swoje wnętrza.

Pierwsze wrażenie jest dość niespodziane. Więzienia przywykliśmy uważać jako coś bardzo ponurego i ciemnego: nie zdziwiłabym się też wcale, gdyby ściany były odrapane i brudne, okienka małe i nie dające światła, a barłóg ze słomy i dzban wody dopełniał tego urządzenia. Jasność więc kamer, ich czystość, ich obszar uderza czymś nieoczekiwanym. Są to w istocie dość duże, prostokątne izby z czysto wybielonymi ścianami i równie czysto utrzymaną podłogą. Dwa zwyczajnej wielkości, dość rzadko zakratowane okna, wychodzą na podwórko więzienne i dają światło bardzo dostateczne; w jednym kącie piec kaflowy, w drugim poskładane jeden na drugim i pokryte siwymi derami sienniki, dokoła ścian ławy, w pośrodku rodzaj warsztatu do wyplatania krzesel służącego - oto wszystko. Pomimo wszakże tego schludnego pozoru, a nawet otwieranego ukradkiem lufcika, powietrze jest tak tu, jak i na korytarzach specjalne, że tak powiem, więzienne, ciężkie, duszne, jakby przesiąkło zastarzającymi miazmatami, tak że się trzeba uczyć nim oddychać i dopiero z czasem nawyknąć do niego można. Pod ścianami na ławach, przy warsztacie, kilkanaście starszych i młodszych kobiet; dwie czy trzy karmią żółte jak wosk i obrzmiałe na twarzyczkach dzieci. Siwa, gruba spódnica więzienna i takiż kaftan - na kilku uwięzionych tylko. Reszta odziana w suknie własne, których utrzymanie w całości lub zastąpienie nowymi jest, jak się przekonałam z czasem, przedmiotem największych wysiłków aresztantek. Widziałam takie, które miesiącami całymi nie dojadają, odkładając grosze za chleb na jakąś chustkę lub kaftan; widziałam fartuchy wycerowane jak siatka pajęczna, widziałam spódnice, które ujęte igłą w jednym miejscu, rozłaziły się w drugim, a przecież miłsze były właścicielkom swoim od więziennej odzieży, w której grubym wołoku robactwo zagnieżdża się z niesłychaną łatwością i jest prawie nie do wytepienia. Izba, w której zatrzymałam się podówczas najdłużej i do której najczęściej zachodziłam potem, w ciągu cotygodniowych, przez rok blisko trwających odwiedzin, zajęta była przez bardzo interesujące typy. Przede wszystkim królowały tu dwie siostry, Helena i Waleria War., które pochodziły z rodziny specjalnie złodziejskiej, czyli z tak zwanej "złodziejskiej szlachty". Waleria chorowita, blada, wysoka, z długim wronim nosem i małymi oczkami, z jakimś fałszywym i brzydkim spojrzeniem, była przedmiotem namiętnego przywiązania młodszej Heleny, która miała w śniadawej twarzy i niebieskich oczach wyraz odwagi, szczerości, determinacji i jakiejś dziwnej pogody. Obie siostry już nie bardzo młode, nie po raz też pierwszy odsiadywały karę swoją w Serbii. Helena była już tu coś z czwartym powrotem, Waleria wpierw jeszcze zapoznała się z więzienną izbą. Tym razem ona to dostała, jak tu mówią, wyrok; ale Helena przyznała się do uczestnictwa dobrowolnie, żeby siedzieć z nią razem. Przywiązanie to wszakże nie przeszkadzało im bynajmniej lżyć się ostatnimi wyrazami, a nawet drapać przy każdej sposobności i dopiero wtedy, kiedy je kto rozbroić chciał, obie rzucały się na rozjemcę, stwierdzając tym sposobem swoją siostrzaną miłość. Nie wiem, co się działo z resztą rodziny War., ale widywałam tam ich matkę, staruszkę siedmdziesięcioletnią może, która je nawiedzała, błogosławiła i chlubiła się nimi tak, jakby to były najszlachetniejsze istoty w najwłaściwszym dla siebie położeniu będące i przynoszące jej największą pociechę; one też nawzajem odpłacały jej nadzwyczajną czułością i przywiązaniem. Obie siostry używały pomiędzy koleżankami wielkiego poważania. O Waleni mawiano z rodzajem naiwnego podziwu, że "na wolności miała zawsze dobre zarobki", o Helenie wiedziano, że jest rezolutna, że w potrzebie za cały oddział się zastawi i nawet samego "wielmożnego" się nie złąknie. "Wielmożnym", tak wprost, bez dodania tytułu lub wyrazu pan, nazywały aresztantki inspektora

swego. "Wielmożny idzie", "wielmożny kazał", "powiem przed wielmożnym", oto wyrażenie, które mi się z początku zdawało dość dzikim, ale do którego przywykłam w końcu tak, że mnie razić przestało.

Lecz był jeszcze inny powód przewagi siostr War. Oto należały one do zastarzałych recydywistek, a sądy, wyroki, pobyty, dozory, więzienia wreszcie, były dla nich niemal normalnymi warunkami życia. Etyka zaś Serbii polegała na tym, że o ile dostające się tam po raz pierwszy klientki lekceważone były i pogardzane niemal, o tyle wytrawne i wielokrotnie karane używały powagi i szacunku. "Frajerki" zamiatały i oczyszczały izbę, szorowały podłogi i nierządka całowały w rękę "panie", które traktowały je protekcjonalnie i z akcentem pewnej wyższości. Zdarzało mi się nawet nieraz słyszeć, jak zirytowany strażnik wołał na jakąś krnąbrną nowicjuszkę: "ty frajerko!", okazując jawnie wzgardę swoją, jako władza, dla tych upośledzonych istot.

Dwie charakterystyczne cechy zauważyłam w mieszkankach Serbii: wielkie zdziwienie i wielką naiwność. O lada co, o słowo, o gest, o spojrzenie - wybucha tam wściekłość zwierzęca niemal. Złorzeczenia, klątwy, bójki są wtedy na porządku dziennym, tak pomiędzy zamkniętymi w jednej izbie, jak i pomiędzy izbami solidaryzującymi się z sobą. Drzwi, których zamek izbę od izby dzieli z wewnątrz, wytrzymać muszą wówczas kopania, uderzenia pięści, drapanie paznokciami, którym to wybuchom dopiero nadchodzący strażnik tamę kładzie. Co do naiwności, tę spotkać można w starych nawet i wytrawnych złodziejkach. Pamiętam, była tam jedna, Jasielska, która odsiadywała wyrok za kradzież rzeczy służących do kobiecego ubrania. Otóż opowiadała mi ona, w jaki sposób tutaj popadła. Jakieś damy, sprowadziwszy się do Warszawy, rozpakowały swoje kufry w świeżo najętym mieszkaniu, a że szaf jeszcze nie było, więc rzeczy rozłożone zostały na krzesłach, stołach itd. Leżało to tak dzień czy dwa, to jest dosyć długo, aby zwrócić uwagę złodziei. Jakoż znajoma Jasielskiej i znajomej tej znajomy zajechali dorożką przed dom, w czasie kiedy damy wyszły, i wysłali Jasielską na połów.

- Wchodzę ja - proszę pani - a tu tyle śliczności, że nie wiedzieć, na co wpięć patrzeć. Biorę j a wysypkę jedwabną, co też tam leżała, i pcham w nią, co się mieści; niosę raz na dół - nic, niosę drugi raz - nic, niosę trzeci raz, aż tu mnie stróż pyta: co to pani tak spaceruje po tych schodach? A ja mówię: To te panie, co przyjechały, sprzedają niepotrzebne rzeczy, więc ja kupuję. I dobrze. A był tam kapelusz aksamitny z piórem. Ledwośmy do domu wrócili i rzeczy dobyli, a ta niegodziwa mówi: kapelusz mój. A ja mówię: nieprawda, bo mój. Tak oni zaraz na mnie we dwoje; pobili mnie, pokaleczyli, wypchnęli i pół rubla za mną jak za psem cisnęli. Aż tu niedługo robi się gwałt na mieście; lokaja wzięli, stróża wzięli. Jak zaczęli szukać, jak zaczęli trząść, tak znaleźli rzeczy u paserki na Pradze. Od jednego do drugiego, wszystko się wydało. Zabrali ich dwoje, zabrali i mnie. Tak potem, jak przyszła ta sprawa, prowadzą mnie do sądu. Patrzę ja, aż tu rzeczy precz porozkładane, a w sądzie pani i panna takie śliczne, jak te anioły z nieba, aż płaczą, tak proszą za mną. Panie sędzio, panie dobry! patrz pan, jaka ona młoda! poprawi się jeszcze, wypuście ją, może głodna była, może z biedy... My już i tak mamy, co nasze, odpuście jej, chociaż jej tylko! Tak już te panie proszą, tak się modlą, aż mi się serce kraje! A sędzia nie i nie. Aż tu znów starsza mówi: "Panie sędzio! Tam w biurku u mnie leżało trzydzieści tysięcy rubli, a przecież ich nie wzięła". - Jak ja to usłyszę, proszę pani, jakby we mnie piorun trząś! To ty, głupia, myślę sobie, za gałgany chwytałaś, a nie zajrzałaś, co było w biurku. Myślałam, że trupem padnę...

Otóż to taka mieszanina naiwnej skruchy i chciwości złodziejskiej jest charakterystycznym ich rysem.

Żadna z uwieczonych nie wyraża się inaczej o sobie, jak tylko że "popadła" w nieszczęście. Zupełnie jakby nie czuły ani udziału woli w swoich czynach, ani też moralnej za nie odpowiedzialności.

Wyjątkiem świetnym pod każdym względem była małorosjanka, Kazarynowa, przez długi czas "niania" w jakimś zamożnym domu, a potem za kradzież brylantów w jubilerskim sklepie na siedm lat więzienia skazana.

Cicha, spokojna, zawsze niezmiernie schludnie w czarnej sukni i białym czepeczku wyglądająca, nie podnosiła prawie oczu od szybko robionej cienkiej pończoszki.

Pięć lat już siedziała tak w tym samym miejscu, pod oknem w rogu ławy, schylając swoją bardzo miłą i bladą twarz nad robotą. Kiedy inne narzekały, wypierały się, przeklinały, ona zawsze z niezmienną słodyczą mawiała: "Źle się zrobiło, trzeba znosić, co Bóg dał". To była filozofia, która jej dawała dziwną pogodę i otaczała kącik jej spokojem, wtedy nawet, kiedy cała izba wrzała jakąś burdą.

Ale nie tylko uczucie nienawiści było tam silnie napięte; toż samo działo się z uczuciem miłości. Każda aresztantka, czy starsza czy młodsza, miała swego wielbiciela; nawet zupełnie stare kobiety nie były wyłączonymi od pocisków Amora. Zdaje się nawet, że był to jeden z powodów, który, obok szczupłości pomieszczenia, skłonił władze do otworzenia karnego oddziału dla kobiet w osobnym gmachu i na innej zgoła ulicy.

Miłość w Serbii zawiązywała się jak wszędzie nie wiedzieć z czego. Przy więzieniu był ogródek, do którego wypuszczano aresztantki w południe, na ogródek wychodziły okna z męskiego oddziału, i tutaj to prawdopodobnie, podczas tych południowych przechadzek, pierwszym pośrednikiem bywał zmysł, "który kochać przymusza". Aż dotąd rzecz zwykła. Ale objawy tej miłości miały odrębny swój i godny uwagi charakter.

Kiedy więzień upatrzył sobie bogdanke, posyłał jej, mniejsza o to jaką drogą, nowe trzewiki. Były to jakby oświadczyzny afektu. Jeśli afekt był podzielany, bogdanka przysyłała parę skarpetek przez siebie zrobionych, jako odpowiedź uczuciom zakochanego przychylną. Ale był to dopiero wstęp niejako, preludium miłości. Trzeba było bogdance pokazać, że się jest dzielnym chłopem, który wszelkiej przygodzie dotrwa i dostoi. W tym celu zakochany szukał zaczepki z pierwszym lepszym towarzyszem, a czasem i bez zaczepki dawał mu pięścią w kark lub między oczy; hałas sprowadzał strażnika, zakochany rzucał się na niego jak lew, rwał na nim ubranie, walczył i dopiero siłą większą pokonany, szedł na dwa tygodnie do ciemnej. Ciemna - jest to komórka sklepiona w piwnicach, bez podłogi, i z okienkiem tak małym, że dnia prawie nie dopuszcza, a takie w niej zimno nieznośne, nawet latem, że kiedym raz odwiedzała zamkniętą tam penitentkę, która koleżance swojej zrobiła dziurę w głowie szydłem przy wyplataniu krzesel, to już po półgodzinie febra mnie trzęsła. Tapczan przy tym bez siennika, obostrzenie postu - oto ciemna.

Zakochany nasz jednak idzie tam na dwa tygodnie jak na bal: głowa do góry, spojrzenie wyzywające. Nie prosi o ulgę, nie prosi o skrócenie terminu, choćby nawet wiedział, że mu to udzielonym będzie. Przez cały ten czas wybranka jego serca chodzi z dumnie podniesionym czołem, nastrecza się strażnikom ze swymi aroganckimi minami, z najwyższą wzdargą spogląda na tak zwane "plastry", to jest na trwożliwe i uległe koleżanki swoje, samemu nawet „wielmożnemu" śmiało w oczy patrzy. Upływa wreszcie termin ciemnej, a zakochany bohater staje się na pierwszej przechadzce w ogródku przedmiotem powszechnej owacji.

Ale i kobieta chce okazać, że wcale nie ustępuje wybranemu co do wielkości serca i odwagi. Nie czekając tedy, daje w twarz którejkolwiek z towarzyszek, rzuca się na rozbijającego je strażnika i naturalnie idzie także do ciemnej, odbyć swoją kolej, harda, nieugięta, nie prosząca o nic, i mężnie wytrzymuje swoje dwa tygodnie. Po takim eksperymencie następuje pomiędzy tym dwojgiem jakby jakiś sakramentalny związek serc, który rzadko kiedy zrywany bywa, a otoczony jest szacunkiem towarzyszy i towarzyszek. Pierwszym, który ten rodzaj mistycznego ślubu dusz wprowadził w użycie w Serbii, był Józek Kamieniarz, kochanek Heleny War. za jej młodych lat jeszcze. Byliby się oni nawet na dobre pobrali, tylko tak im jakoś zawsze wypadało, że albo jedno, albo drugie siedziało w więzieniu, albo wreszcie oboje razem. Poszedł raz nawet Józek Kamieniarz na Sybir, a chociaż w tym czasie Helena nie naśladowała Penelopy zbyt ściśle, za złe jej tego nie miał i z dobrym sercem do niej powrócił, bo wiedział, że ona o nim tylko myśli, tak jak i on o niej.

II

Nigdy nie zapomnę ranka spędzonego w więzieniu 25 grudnia 1882 roku. Oddział karny nie miał przedtem kaplicy. Aresztantki chodziły wprawdzie niekiedy słuchać mszy w oddziale śledczym przy ul. Długiej, ale ponieważ na nabożeństwo takie trzeba było pod strażą przez ulice iść, wymawiały się od tego jak mogły, tak że niejedna całymi latami we wspólnej modlitwie udziału nie brała. Otóż kilka osób dobrej woli postanowiło urządzić ołtarz więzienny w samej Serbii, a ponieważ miejsca na kaplicę nie było, ustawiono go na korytarzu, wprost schodów, wiodących do izb kobiecego oddziału. Jeden z młodych naszych malarzy, p. St. R., odznaczony złotym medalem uczeń petersburskiej szkoły sztuk pięknych, wymalował Madonnę Łaskawą, która wszystkim do serca przypadła. Była to dziewicza postać w białej szacie, wyciągająca ręce do cisnących się u stóp jej nędzarzy.

Formalności natury duchownej i świeckiej zajęły bardzo dużo czasu. Schodziły komisje, mające ocenić, czy miejsce na ołtarz właściwie jest obrane, zwlekano wydanie mensy, przypatrywano się, mitrężono po naszymu na wszelki sposób, aż wreszcie wszystko było skończone, załatwione i pierwsza msza odbyć się miała w dzień Bożego Narodzenia. Kiedym weszła, korytarz był już pełny. Dwa okienka, znajdujące się na dwóch jego przeciwległych krańcach, oświetlały z jednej strony zbitą masę pogolonych głów męskich i więziennych siermiąg, z drugiej zastęp klęczących kobiet.

Z boku umieszczono melodykon, na którym, zastępując organistę, grał sam „wielmożny”, a przed ołtarzem stał trzęsący się, zgarbiony ksiądz siwy, który głową chwiały tak, że mu słowa na zapadniętych ustach rwały się i ginęły w recitativach żalonych, bardziej do jęków podobnych niżeli do śpiewu.

Tuż zaraz na prawo, z niezmaconą w twarzy pogodą, klęczała na czele kobiet Helena War., która się w ciągu dni kilku wyuczyła ministrantury i donośnym, czystym śpiewem podtrzymywała, owszem, zagłuszała niemal głos jakiegoś wyrostka do mszy służącego, a nawet ten ochrypli dzwonek, który mu w rękę kołatał.

Wszyscy byli dziwnie wzruszeni. Na wielu apatycznych twarzach znać było jakiś niepokój; wiele kobiet przyłgnęło piersiami i obliczem do ziemi, załamane ręce trzymając przed sobą na podłodze; inne, wpatrzony w obraz, zdawały się być pod wpływem niespodziewanego uroku. Nie brakło i takich wprawdzie, które klęcząc zrazu, posiadały potem na piętach i albo o mur oparte drzemały, albo też bezmyślnie wodziły dokoła oczyma; ogół wszakże, a i o mężczyznach tu mówię, był poruszony, niespokojny, wstrząśnięty. Po takiej to mszy, wśród tego tragicznego tłumu zabrzmiała nagle z kilku setek piersi stara, wszystkim znana kolęda: "Bóg

się rodzi, moc truchleje..." Zdawało się, iż pieśń przelewa się wierzchem przez te wszystkie serca. Śpiew grzmiał jak wołanie otchłani, niepowstrzymany, namiętny, wysilony boleśnie...

Ale przy trzeciej już strofie zaczęło głosów ubywać, potem się tu, to tam odezwało stłumione łkanie, aż wreszcie buchnął taki płacz, taki jęk, że sam "wielmożny" takt zgubił w przygrywce, jakby mu ręce zadrżały, a stary, siwy ksiądz, co przed ołtarzem klęczał, podniósł w górę trzęsące się dłonie, a głowę schylił nisko, jakby miał objawienie tej niezagasłej mimo wszystko iskry człowieczeństwa, która pod tymi guniami więziennymi tli przysypana popiołem długoletniej poniewierki, a rozdmuchnięta nagle powiewem uczucia wybucha niepowstrzymanie.

Odtąd niedziele były mniej posepnymi w Serbii. Młodsze z uwięzionych jedna przez drugą wyuczyły się różnych pieśni; po mszy bywała nauka, niekiedy bardzo niedołąźnie, przyznać trzeba, wypowiedziana; melodykon także stanowił pewne urozmaicenie; a wszystko to dawało na resztę dnia przedmiot rozmowy choć cokolwiek spokojniejszej, kojącej te rozdrażnione umysły względną pogodą.

Uwięzione nazywały zwykle towarzyszkę moją "pani hrabina", co w ich przekonaniu i najwyższym zaszczytem było, i najlepiej malować miało ich uczucie wdzięczności dla osoby, która była prawdziwie ich opiekuńczym aniołem.

O mnie zaś, która im tyle dobrego zrobić nie mogłam, mówiły po prostu "nasza pani" i lgnęły do mnie dość łatwo.

Nie wszystkie jednak. Od dawna już uważałam, że jedna z aresztantek, niemłoda, z wiejska ubierająca się kobieta, trzyma się zawsze w pewnym oddaleniu, stojąc lub siedząc skulona pod piecem. Widziałam wszakże, iż od czasu do czasu zwraca głowę i słucha, co mówię z innymi.

Była to Szymczakowa, znana z procesu o liczne dzieciobójstwa, współniczka Szyfersowej, która wcześniej jakoś umiała się uwolnić z więzienia. Cały oddział miał Szymczakową w pogardzie; a inspektor nie wiedział, gdzie i jak ją pomieścić, bo żadna z aresztantek przy jej tapczanie siennika swego położyć nie chciała. Utrzymywały, że po nocach nie sypia, że stęka, zrywa się, że przez sen gada. Powoli też ona sama usunęła się od wszystkich, a zaciągnawszy tapczan swój pod piec, trawiła w tym kącie dni całe, siedząc skulona i latając wory.

Była to ohydna baba. Tęga, barczysta, dość słuszna, twarz miała ospowatą jakby, z której dawna czerwoność przeszła w jakiś żółtoceglasty, brudny odcień; kości twarzy tej były nadmiernie wystające, szczęki ogromne. Pod niskim, zachmurzonym czołem oczy małe, ponure, czasem jakby martwe, to znów latające, niespokojne, przestraszone jakieś. Była to jedyna z aresztantek, która przez ten rok cały nie przemówiła do mnie ani słowa.

Ja też nie szukałam zbliżenia. Powiem nawet, że czułam do niej jakiś wstręt, jakąś odrazę. A nie tylko ja. Towarzyszka moja, pomimo wielkiej swojej słodyczy i dobroci, także nie zbliżała się do Szymczakowej nigdy, odpychana jakby obawą jakąś. Tak upłynęło parę miesięcy.

Póki jeszcze więziennego ołtarza nie było, niedzielne ranki przechodziły zwykle w ten sposób, że opowiadałam aresztantkom coś stosownego dla nich albo z Ewangelii, albo z dawnych dziejów, a już z tego wywiązywały się potem długie rozmowy, w których i starsze, i młodsze chętny brały udział, siedząc około mnie na ławach, na podłodze, skupione, cisnące się, zadumane nieraz. Uważałam, że najchętniej mówią o dzieciństwie swoim i o młodych latach. Zdawałoby się, że te sponiewierane istoty mimo woli wracają myślą do chwil, w których jeszcze występny nie były. Mówiłam tedy z nimi o ich rodzinie, o rodzinnym miejscu,

przypominałam im wieś, las, pole, żniwa, szkółkę. Nieraz też słuchałam opowiadań, które się zaczynały od kłamstw i wykretów, a kończyły nierzadko we łzach i w prostocie słowa.

Większa część aresztantek lubi mówić dużo i mówi wcale gładko; niektóre z nich okazują wielką chętkę do książki i wszelkich opowieści słuchają chciwie. Dopytują się też gorliwie bardzo o to, co się dzieje "na świecie", a nawet politykują. Co prawda, polityka ta obraca się zwykle w sferze przewidywań nadzwyczajnych jakichś wydarzeń i płynących z nich manifestów, które by skróciły termin ich kary.

Jest zwykle "w kamerze" jedna lub dwie polityczni takie, które kombinują wypadki europejskie w sposób najpociesniejszy, podczas kiedy inne słuchają ich z otwartymi z podziwu ustami, a wszystkie te kombinacje zawsze wypadają w ten sposób, że czy tak, czy owak, manifest musi przyjść i wyroki zmniejszone będą. Zdarzyło się raz, że przyniosłam z sobą Zachwycenie Lenartowicza i czytałam głośno. Zeszła się kobiet pełna izba i słuchały z wielkim zajęciem, które się objawiało głośnymi westchnieniami. Aż kiedy przyszło miejsce o owych nie chrzczonych dzieciątkach, które się po otchłaniach tułają, nie mogąc zaznać spokoju, ruszyła się ku ogólnemu zdziwieniu Szymczakowa spod pieca i ciężkim krokiem, jakby ją kto po niewoli ciągnął, przyszła usiąść tuż przy moich nogach. Padła raczej niż usiadła i wielką swoją głowę, związaną w czerwoną chustkę, położyła mi na kolanach.

Muszę wyznać, że wzdrygnęłam się mimo woli. Głos mi się targnął, gorąco uderzyło do twarzy. Przemogłam się przecież i, nie przerywając czytania, położyłam rękę na tej wielkiej, ciężkiej głowie. Wkrótce uczułam, jak się ten kolos, oparty o mnie, zaczął spazmatycznie wstrząsać, a kiedy po kwadransie jakimś czytanie się skończyło, podniosła się Szymczakowa ciężko, sieknęła tak, jakby wielki ciężar dźwigała, i powlokła się pod piec na zwykle miejsce swoje. A ja wtedy zobaczyłam, że mam suknię od łez jej mokrą.

Odtąd często tak przychodziła się na podłozie przy mnie, i ja też nieraz jeszcze kładłam rękę na tej potwornej głowie, i nieraz czułam, jak się te szerokie piersi wstrząsają u moich kolan jakimś wewnętrznym płaczem, ale ani ja, ani ona nie przemówiłyśmy nigdy do siebie.

Najmłodszymi z uwięzionych były wówczas: Leosia, szesnastoletnia może dziewczyna, która wszakże przeszła już całą szkołę ulicznego zepsucia, tudzież Mańka, mająca może lat ze czternaście, która od rodziców uczciwych, pracy rzemieślniczej oddanych, uciekła, aby kraść, jak ptak ucieka, aby latać. Wesoła, sprytna, śmiejąca się szarymi oczyma i zielonkawą, chudą bardzo twarzą, od szajki do szajki złodziejskiej wędrowała tak, jak od terminu do terminu. Dla jednych kradła pieniądze, dla drugich odciskała zamki, co kto chciał. Kochanka też miała już, niewiele starszego od siebie. We dwoje biegali kraść tak, jak inne dzieci w ich wieku biegają gonić motyle. W żadnej z najzatwardziały z łodziejek nie widziałam tyle czelności, ile w tej zgubionej Mańce. Graniczyło to niemal z niewinnością, takie było jakieś dziwnie naturalne, przyrodzone jakby. Co się z nią stało - nie wiem, ale jest mi smutno, ile razy o niej myślę. W ostatniej "kamerze" siedziały tak zwane "pierzarki". Były to stare baby, zajęte specjalnie darcie pierza i kłócące się z sobą od rana do nocy. Główną ich słabością było to, iż ogólnie chciały uchodzić za bardzo szanowne osoby. Ani jedna nie siedziała tam z własnej winy. Broń Boże! Wszystkie były czyste jak szkło. Tylko - ot, takie to już nieszczęście, że człowiek zawsze „popaść” w coś musi. Skutkiem tego właśnie ustawicznego dowodzenia swojej niewinności, zrobiły

się baby owe tak drażliwe, że za najmniejszym gryzącym słówkiem, jakiego sobie przecież od czasu do czasu odmówić nie mogły, robiło się u pierzarek istne piekło. Strażnicy też, a nawet sam „wielmożny”, mieli z nimi niemało roboty i wszyscy, przyznać to trzeba, bab tych nie cierpieli.

Była tam pomiędzy nimi jedna - nazwiska jej przypomnieć już sobie nie mogę - która miała różę w nodze, odnawiającą się ciągle, i która, z małymi przerwami, siedziała w więzieniu od lat bardzo dawnych. Kiedy ją wypuszczano po raz ostatni, obejrzała się na prawo, obejrzała się na lewo, a potem prosto poszła do Świętokrzyskiego kościoła i ściągnęła obrus z ołtarza.

- Nie z biedy, proszę pani! Niech mnie tak Bóg da zdrowie, jak miałam jeszcze całe cztery złote w kieszeni!

- I cóż wam z tego przyszło? - pytałam baby.

- A ot co? - baba na to. - Musieli mnie wziąć. A co ja inszego będę na świecie robiła? Ni ja męża, ni ja dziecka, człowiek sam jeden, jak ten palec... A to już dwadzieścia siedm lat tu siedzę. I człowiek przywykł, i człowieka znają, i kąt ma swój, i poszanowanie...

O mało żem się nie roześmiała, słysząc o tym "poszanowaniu".

Strawę dostają aresztantki sporządzoną dość czysto i względnie wystarczającą. Groch, kasza, kapusta - na przemian, w południe; dwa funty chleba dziennie, rano jakaś zupa, też z kaszą, słowem, mogą nie być głodne.

Trzy razy na tydzień dostają w krupniku tak zwane "sztuczki". Sztuczki owe są niewielkie, a nawet dość małe kawałki mięsa, przy których rozdawaniu każdej z aresztantek zdaje się, że druga dostaje większy. Powstają stąd spory i zatargi nieskończone. Już to w ogóle przy jedzeniu panują tam harmider nieznośny. Obiad przynoszą w cebrzyku, który ustawia się w korytarzu przede drzwiami; strażnik pilnuje porządku, aresztantki podają jedna przez drugą swoje cynowe miseczki, a dwie uprzywilejowane nalewają warzających strawę. Pamiętam, raz przyniesiono kaszę ze skwarkami z sadła. Aż tu gwałt. Najpierw krzyk, kłótnia, odgródki, a potem patrzę, pięćdziesięcioletnia może baba płacze jak małe dziecko, chlipiąc, zanosząc się i klnąc w przerwach na czym świat stoi. Poszło jej o skwarki, na których jakoby pokrzywdzoną była.

Wtedy Helena War.. do kłótni tym razem nie należąca, zbiera z wyniosłym gestem sadło z własnej kaszy, rzuca je łyżką na miskę płaczącej, resztę zaś swego obiadu, z pełnym wzgardy rozmachem, wylewa z miski pod piec. Po czym wszystkie łyżki zatrzymują się w połowie drogi do ust, wszystkie oczy patrzą na nią z uwielbieniem, a Helena staje się bohaterką chwili.

III

Dzień w więzieniu wczesnie się zaczyna. Kiedy strażnik o czwartej z rana izby w Serbii otworzył, aresztantki powinny były być pomyte, poczesane i odziane. Wtedy wypuszczano je do ogródka. "Pod numerem", jak się tu mówi, zostawała tylko "porządkowa". Porządkowa jest jakby przełożoną izby, odpowiada za jej ład i czystość. Ona zaściela sienniki, ona utrzymuje w porządku niezbędne naczynia, posługując się pomocnicami wybranymi najczęściej z „frajerek". Dostaje za to czterdzieści groszy tygodniowo z kancelarii, a od każdej aresztantki "spod numeru" dwa grosze tygodniowo.

Porządkowa bywa zwykle dobierana z doświadczonych starszych kobiet, co to się i ze strażnikiem wyklócić umięją i w izbie rygor utrzymać potrafią.

Mając grosz częsty, mleko sobie kupuje na śniadanie albo przyrządza kawę: w postępowaniu swoim bywa przyzwoita, a pewne poważanie otacza ją widocznie.

Wróciwszy z ogródka, aresztantki zabierają się do roboty. Zręczniejsze szyją,

dziergają, robią pończochę, chustki szydełkowe; większość wyplata krzesła. Wyćwiczone aresztantki uczą mniej zdolne. Majstrowa z fabryki odbiera co tydzień robotę, próbując przy tym dźwięku palcem. Dobrze wyplecione krzesło "ma dzwon", nie dociągnięte daje ton głuchy, a robotnica odbiera naganę. Robotnica, która z funta trzciny wyrabia sześć krzesel, dostaje od każdego krzesła dziesięć groszy. Ta, która sześciu wypleść nie może, dostaje dwa i pół grosza. .0 tych jest podejrzenie, że marnują trzcinę. Wiele tu zależy od zręczności, ale nie mniej od gatunku trzciny. Dobre robotnice wyplatają po piętnaście, dwanaście krzesel dziennie; średnie po ośm do dziesięciu, najgorsze kończą na sześciu, a nawet na czterech.

Najzręczniejszą za owych czasów była Pekinowa, Żydówka. Wyplatała ona po ośmnaście krzesel dziennie.

Niektóre stare baby wcale się wyplatania nauczyć nie mogą i oplakują rzewnymi łzami każde pociągnięcie trzciny, która im się w grubych rękach rwie, skręca i jest przedmiotem srogich przekleństw. Takie, które nawet czterech krzesel wypleść nie mogą dziennie, idą do łatania worów, sienników i do darcia pierza. Pierzarki dostają dziesięć groszy od funta zdartego pierza. Zarobek ich jest nędzny, jakkolwiek wiele z nich nabywa niesłychanej wprawy i porusza palcami z szybkością maszyny.

Zarobek tygodniowy aresztantki rozdziela się na dwie połowy. Jedna idzie "na wydział", druga "do książki". Połowa zarobku, wpisana do książki, stanowi fundusz zakładowy, który aresztantka odbiera wychodząc z więzienia. Za pieniądze idące "na wydział" może aresztantka dostać czego zechce: mydło, nici, igły, kawę, herbatę, masło, wędlinę, chleb biały, tabakę, a nawet wódkę.

Tylko że wódka zostaje w kancelarii, aresztantka zaś nie dostaje jej na raz więcej, jak jeden kieliszek. Za godzinę może znowu przyjść i wypić kieliszek drugi; ale ani dwóch naraz, ani flaszki "pod numer" nie dostanie. Może także aresztantka przyprowadzić z sobą do kancelarii na wódkę te, które chce poczęstować, i każda z zaproszonych wypija tylko po kieliszku. Naturalnie, że zapasy pochodzące z wydziału nie są nigdy "pod numerem" zupełnie pewne; a kłótnie o zjedzone masło, rozsypaną tabakę, zaginioną kielbasę, zabraną igłę - są na porządku dziennym.

Około ósmej przynoszą aresztantkom śniadanie i rozdają chleb; w południe obiad, po obiedzie przechadzka w ogródku, z czego w chłodniejszej porze korzystają te tylko, które mają ciepłe chustki, a potem już robota do nocy. W dni zimowe zapala się o zmierzchu lampa wisząca nad warsztatowym stołem; większe izby mają po dwie takie lampy. Pilniejsze robotnice pracują zwykle dość długo z własnej ochoty; jeśli robota jest nagła, wszystkie pracują dłużej. Nareszcie kładą się spać. W nocy strażnik po dwakroć izby otwiera. Pierwszy raz o dwunastej dla wpuszczenia świeżego powietrza; drugi raz około drugiej, kiedy idzie liczyć śpiące pod numerem aresztantki.

Niedziela tym się od dni powszednich wyróżnia pod względem administracyjnym w Serbii, że z rana otwierający drzwi strażnik przynosi pod numery czyste koszule, a wracając tą samą drogą, zabiera brudne, przy drzwiach porzucone.

Pranie odbywa się w wielkiej kuchni, gdzie na ogromnych trzonach gotuje się strawa w kotłach osobnych dla chrześcijan, osobnych dla Żydów, pod odpowiednim każdemu z tych wyznań nadzorem. Zapuszczenie tak zwanej "trefnej" warzączwi w kocioł żydowski karane jest ciemną.

W drugim końcu tej kuchni stoją balie, a przy nich - prace. Mężczyźni bowiem piorą tu wszystką bieliznę, i swoją, i kobiet, a do roboty tej wybierani są

zwykle spomiędzy aresztantów przybysze ze wsi. Zwyczaj ten datuje się tu od bardzo dawna, a powstał zapewne z potrzeby uniknięcia okazji wspólnego przebywania kobiet i mężczyzn w kuchni.

Pranie to pozostawia bardzo wiele do życzenia. Koszula wychodząca z rąk pracza jest zaledwie przebielona, przetarta z grubszego. Reszta się przymaglowywa, i dobrze. Nie wszystkie jednak aresztantki chcą nosić takie wspólne całemu oddziałowi, a nie doprane koszule. Otóż te wykwintnisie dostają z kancelarii po dwie nowe skarbowe koszule i same je sobie pod numerem piorą.

Różne metody prania zalecane bywają gospodyniom naszym, ale ta, która się praktykuje w Serbii, jest całkiem oryginalna. Do cebrzyka, w którym się aresztantki umywają, a który utrzymywany jest bardzo czysto przez "porządkową", kładą się koszule przeznaczone do prania i nalewają wodą. Piorąca wyciera mokrą szmatą kawałek podłogi, ustawia cebrzyk, klęka przed nim, i wykręciwszy lekko każdą sztukę, rozkładają przed sobą na podłodze, mydli i zwija. Potem kolejno pierze je, a raczej ściera, zawsze na podłodze, którą to manipulację powtórzywszy raz jeszcze, płucze w cebrzyku, wykręca, suszy i na magłownicy magluje. Przy całym praniu takim na klęczkach odbytym, ani podłogi nie zaleje, ani ścian nie zachlasta, ani nawet fartucha bardzo nie zamacza.

Prania podejmuje się zwykle porządkowa za opłatą dwu groszy od koszuli, do czego daje własne swoje mydło.

Jak widzimy, jest to sposób najpierwotniejszy i pozostałby zapewne takim, gdyby nie - miłość. Miłość wszakże, która w Serbii jest matką wynalazków, wprowadziła pewne ulepszenia i w praniu także. Aresztantka dbała o elegancję miłego, nie poprzestaje na wypraniu na podłodze jego koszuli, którą jakim sposobem dostaje "pod numer", jest dla mnie tajemnicą. Ona koszulę tę krochmali i prasuje także; ale do tego trzeba już zbiegu szczęśliwych konstelacji. Trzeba mianowicie, żeby dnia tego wypadały kartofle z barszczem. Kiedy ta pożądana okoliczność zejdzie się z praniem, piorąca wyjmuje z miski kartofel, opłukuje go czysto i rozpostarłszy pięknie gors koszuli, naciera go kartoflem raz koło razu, strzepuje potem, suszy i magluje. Po wymaglowaniu rozkłada koszulę raz jeszcze, a wzięwszy czysto wymytą drewnianą łyżkę do ręki prasuje nią gors, naciskając palcem wgłębienie tak, iż po niejakiem czasie łyżka staje się gorąca, jak rozpalone żelazo, a koszula wyprasowana w ten sposób, jeśli tylko czysto doprana była, wygląda jakby wyszła spod ręki specjalistki z jakiejś chemicznej pralni.

W sobotę łaźnia. Do łaźni aresztantki nie uczęszczają zbyt chętnie. Z niechęci tej zrodził się nawet przepis, że kto nie był w łaźni, ten jeść nie dostaje.

Pomimo to wszystko, ochędóstwo w Serbii pozostawiało wówczas dużo do życzenia.

Chore aresztantki mieszczą się "na górze", w szpitalu kobiecego oddziału, złożonym z trzech izb, z których każda zaopatrzona jest w sześć łózek i dwie. trzy kołyski. Aresztantkę, która "pod numerem" zasłabnie, prowadzą lub przenoszą natychmiast, choćby w nocy, na górę, gdzie zaraz ma sobie udzieloną odpowiednią pomoc, jeśli jej położenie tego wymaga, a z rana przychodzi lekarz więzienny.

Chore dostają z rana kwaterkę mleka i bułkę; na obiad rosół z ryżem lub klejek z jęczmiennej kaszy i kawałek cielęciny, wieczorem herbatę. Na dzieci chore także sama porcja wydzielana bywa. Zdarza się, iż służąca za mamkę kobieta, której dziecko przy objęciu obowiązku umieszczonym zostało u Dzieciątka Jezus, dostaje się do więzienia na dłuższy wyrok, to jest na rok, na dwa lata. Wolno jej wówczas zażądać oddania swego dziecka, które jej do więzienia przynoszą, a ona karmi je i odchowuje sama. Na dziecko, choćby to niczego więcej nad pierś matki nie potrzebowało, dają kobiecie karmiącej kwaterkę mleka i pół funta białego

chleba .dziennie, a oprócz tego drugą porcję zwykłej dziennej stawy, za którą, jeśli jej nie zużywa, dostaje dwa grosze. Do dwóch lat wieku tylko dzieci oddawane są uwięzionej matce, starszych zabierać z sobą ani trzymać przy sobie "pod numerem" nie wolno. Wyradza to czasem dziwne sytuacje. W ratuszu znajdowała się raz dziewczynka siedmioletnia może, z którą nie wiedziano po prostu co zrobić- Ojciec gdzieś wywędrawał, czy zgołą znany nie był, matkę wzięto do więzienia, a dziecko do ratusza.

Kiedym poszła dowiedzieć się o jej losie, przechadzała się w najlepszym humorze pomiędzy zbieraniną uliczną najgorszego gatunku, służąc im za cel dowcipów i konceptów różnych. Pierwszą myślą moją, pierwszym poruszeniem było wziąć za rękę to dziecko i wyprowadzić je. Ale tego zrobić nie można. Nie ma na to przepisu.

- Gdzieżeś ty spała? - pytam małej.

- A ot tu, na ziemi - odpowiada otwierając szeroko oczy, zadziwiona tym, iż ktoś w tak prostej rzeczy ma wątpliwości jakie i przypuszcza, że gdzie indziej jeszcze niż na ziemi - spać można, I zaraz zaczęła mi opowiadać, że jej czegoś dać nie chcieli. "Ale narobiłam im takiego gwałtu..."

Śmiertelność była podówczas w Serbii dość znaczna, lubo nie tak wielka, jak w arsenałach, gdzie tyfus przyłgnał niemal do murów i zabierał liczne ofiary.

Toteż te z kobiet, które dostały długie wyroki, przenoszone bywały do Serbii, a odsiadujące krótką, kilkumiesięczną karę, pomieszczano w arsenałach.

Najniższym stopniem kary jest odsiedzenie samego wyroku, po czym aresztowana wypuszczona jest na wolność bezwzględna. Drugim stopniem - odsiedzenie wyroku i „pobyt”. Trzecim i najwyższym: zesłanie.

Kategoria druga jest stosowana najobszerniej i pociąga za sobą skutki najfatalniejsze. Do niej to jest przywiązany tak zwany "pobyt", którego istotą jest prawo orzekające, iż wypuszczonemu złodziejowi nie wolno przebywać ani w samej Warszawie, ani w miejscowości bliższej nad wiorst czterdzieści w jej promieniu.

Jeżeli sprawowanie się aresztantki należącej do tej kategorii jest bez zarzutu, wówczas dostaje przy wyjściu z więzienia tak zwany "rozpis", z którym idzie sama, bez strażnika, na miejsce pobytu i tam melduje się w kancelarii, gdzie z niej spisują protokół i pozostawiają własnemu przemysłowi.

Jeśli na taki dowód zaufania zasłużyć sobie w więzieniu nie umiała, wówczas prowadzi ją strażnik etapem, zdając władzy od gminy do gminy, po czym tak samo ją "opisują" w kancelarii i puszczają wolno, aby sobie poszukała roboty. Jeśli to lato. rzecz nie jest laka trudna. Mieszczanie mają zwykle ogrody, pola, przy których roboty nie brak; dwie zatem zdrowe ręce zawsze tu są pożądane i mogą zapracować dziennie na łyżkę stawy, a noc krótką przepędza się w bruździe, pod płotem, na polu. Lecz zimą - rzecz inna. Zimą roboty przenoszą się pod dach i ograniczają do domowych zajęć: są one wprawdzie często tego rodzaju, że pomoc owych zdrowych rąk przydałaby się i przy nich, ale kto do domu zechce wziąć złodziejkę, którą strażnik przyprowadził "w pobyt", którą "opisano" w kancelarii? Naturalnie nikt.

"Pobytowa" wie o tym dobrze i dlatego korzysta z pierwszej sposobności, aby uciec na powrót do Warszawy, gdzie z biedy chwyta się złodziejstwa, gdyż jawnej, legalnie wykonywanej roboty nigdzie nie dostanie.

IV

Temu, kto bliżej poznał Serbię, jej tradycje, jej charakterystykę, wewnętrzne urządzenia, obyczaj i względna, trochę republikańską swobodę, więzienie istniejące przy ulicy Złotej wyda się z konieczności bezbarwnym, mało

zajmującym, powiem nawet - banalnym nieco.

Tam był świat cały sam w sobie, dziwny, oryginalny, zaciekawiający w najwyższym stopniu; tu dom karny, biuro, zamknięcie na ludzi i rzeczy.

Tam praktykował się cały system indywidualnego sprytu z jednej strony a różnorodnej pobłażliwości z drugiej; tu karność wykonywa się chłodna, jednostajna, poważna, raz na zawsze do wszystkich jednakowo zastosowana. Tam widniał wszędzie - w złym i w dobrym - człowiek, tu widnieje - prawo. Sam już gmach nie ma w architekturze swojej nic więziennego. Jest to wielka, na krańcu prawie ulicy wzniesiona kamienica, tym się chyba różniąca od innych, że stoi przed nią budka, a żołnierz z karabinem odbywa przed jej frontem nieskończoną wędrowkę.

Gmach nie posiada żadnego specjalnego nazwania, co samo już dowodzi, że mu i wewnątrz, i zewnątrz brak tej wybitnej charakterystyki, która stwarza imię w jednej chwili - i na zawsze. Jest to „Oddział kobiecego więzienia karnego przy ulicy Złotej”, a urzędowy stempel tego tytułu silnie odciska się tu na wszystkim i wszystkich. Drzwi główne otwierają się cicho, przyzwoicie, jak każda przeciętna brama, bez tych zgrzytów i pisków, z jakimi podnosiły się i zapadały rygle i zamki w Serbii; odzwierciadlenie trochę szablonowe, mógłby być równie dobrze woźnym w jakiejś finansowej instytucji. Jakże mu daleko do starego Jakuba z Serbii, który nosił niebieską, bawełnianą chustkę na szyi, cały był osypany tabaką, mrużył oczy i uśmiechał się, drepcząc z wyciągniętym przed siebie wielkim kluczem, więzienie uważał za najrozkoszniejsze miejsce pobytu, a siebie za kogoś bardzo zbliżonego do świętego Piotra w tym raj!

Z bramy widać podwórze obszerne, obudowane dokoła oficynami, na prawo wejście do kancelarii. Schody i korytarze woskowane i zasłane suknem, powietrza dużo, i to dobrego powietrza.

Kancelaria obszerna, jasna, niezmiernie prosta, uboga niemal, opatrzona tylko w najniezbędniejsze sprzęty; ściany purytańsko białe i nagie. Jediną ozdobą tego przybytku jest wielka uprzejmość p. nadzorcy i jego twarz pełna słodyczy i ludzkości. Zaledwie zdążyłam usiąść na jednym z trzech krzeseł, stanowiących wraz ze stołem całe umeblowanie kancelarii owej, kiedy się drzwi otwarły i weszła młoda panna, brząkając ciężkimi kluczami. Jest to strażnik więzień pierwszego piętra. Zawsze ja marzyłam o takim kobiecym dozorcze nad uwięzionymi kobietami; a jednak - mamże wyznać - doznałam, zobaczywszy ową pannę, pewnego rozczarowania. Jak to, więc już cię tu nie spotkam, ty wyprostowany, surowy na pozór argusie, któryś w swojej filozoficznej wyższości uważał więzienie za menażerię, a siebie za poskromiciela dzikich zwierząt? Więc już cię tu nie zobaczę, Katonie "od numerów", którego niezłomnie gładki, nie mający ani jednego lekkomyślnego zagięcia mundur pokrywał jednak pierś przystępną wielu bardzo ludzkim uczuciom...

Ale jużemy weszli na schody i tu nas opuściła jasność niebieska, a przed nami rozciągał się korytarz zupełnie ciemny. Korytarz ten, niezmiernie wąski i długi, ma z lewej i z prawej strony szereg przeciwnych sobie drzwi, w które wprawdzie nosem trącić musisz, nim je zobaczysz, a które, gdy się otworzą, sprawiają gwałtowny, groźący paraliżem przeciąg.

Poza tym wszystko tu jest w porządku. Izby jasne, okna cały dzień otwarte, czyste bielone ściany, którym biegnące dokoła lamperie czarne nadają coś żalobnego, podłoga lśniąca, jakby pociągnięta woskiem. Właściwie przecież jest ona tylko wypolerowana denkami od butelek i skorupami stłuczonych szklanek, którą to manipulację wykonywają aresztantki z wielką zręcznością i wprawą. W

każdej izbie mieści się kilkanaście tapczanów. Są to łózka żelazne, wąskie, na dzień składane do połowy i zastępujące wówczas miejsce ławy dla zajętych pod numerem kobiet. Łóżko takie naciągnięte jest silnie grubą, płócienną płachtą, na nią idzie stary, z wybrakowanych kołder pochodzący, kawał dery, we dwoje złożony, pod głowę wąska poduszka, nałożona garścią słomy, na to zaś wszystko gruby wołok, służący do okrywania się.

Wszystkie kobiety zostające "pod numerem" przez dzień cały szyją więzienną bieliznę i garderobę. Są to po większej części dość stare już baby, które innej, delikatniejszej roboty nauczyć się nie mogą; najstarsze i najniezdolniejsze przędą.

O szyciu tym wiele by się powiedzieć dało, i niejedna z was, czytelniczki, nie widziała przez całe życie takich obrębków i stebnówek, jakie się tu praktykują w najlepszej wierze. Trzyma się to jednak kupy, jak to mówią, a kilkanaście robotnic, na jakie sto może, szyje wcale nieźle.

Dziwić się nie ma czego. Palce grube, przy złodziejskim procederze od igły odwykłe, często od długoletniego pijaństwa drżące, zginają się sztywno jak kołki; i to, co robią, dość na nie.

Pilna szwaczka oddaje w ciągu dwóch dni pięć koszul, czasem nawet wykańcza trzy dziennie; inne szyją po dwie i mniej jeszcze.

Bielizna i garderoba uszyta pod numerami idzie do magazynu, który zaopatruje wszystkie więzienia w kraju. Magazyn ten jest to spora o dwóch oknach sala, obstawiona szafiastymi półkami, które, zamiast drzwi, mają firanki płócienne, na półkach, aż pod sufit, stopy koszul męskich, kobiecych, ręczników, płacht, fartuchów, kaftanów i spódnic. Spódnice i kaftany letnie szyte są z drelichu w paski siwe i czarne, który to drelich, jak również i cały zapas zużywanego tu płótna, produkują warsztaty arsenału. Odzież zimową stanowi kaftan i spódnica z siwego sukna. Chorzy używają z tegoż sukna krajanych kapot, podszytych nieco za stan miękkim, lnianym płótnem. Wiele z przedmiotów, znajdujących się w magazynie tym, figurowało w Rzymie na kongresie więziennym, i trzeba wyznać, że roboty naszych więziennych warsztatów i wyroby Osad Rolnych trzymały jedno z pierwszych miejsc na tej wystawie.

Teraz dopiero spotrzełam, co tutaj nadaje wszystkim uwięzionym jakąś wspólną, posępną cechę. Jest to obowiązująca wszystkie zarówno odzież więzienna. W Serbii, mimo istniejących przepisów, każda ubierała się, jak mogła i chciała. Ostatnie nędzarki ledwo nosiły więzienne czepce i kabaty. Były tam grzywki, pretensje, jedwabne chusteczki, jasne suknie, zalotne kaftaniki i fartuchy.

Recydywistkom grożono wprowadzić siwym kubrakiem, ale nikt jakoś bardzo ściśle do wykonywania tej groźby się nie brał.

W tym pstrym i kolorowym tłumie ujawniały się różne indywidualne cechy uwięzionych; próżność, względny dobrobyt, chęć odznaczenia się, różnego rodzaju pretensje znajdowały tu swój wyraz. Na Złotej więzienny drelich zatarł wszystkie te różnice; kaftan pasiasty wisi jednostajnie na wszystkich grzbietach. Płytkie trzewiki obuwają wszystkie stopy, a białe czepki okrywają wszystkie głowy.

Reforma ta tu właściwie dała się przeprowadzić najładziej; w obrębie bowiem więzienia nic nie podsycza żądzy podobania się, która była w Serbii nader silnym czynnikiem wielu spraw. Tutaj żadne okno nie otwiera się, kiedy aresztantki są na przechadzce, a nawet klucze od numerów ma nie strażnik, ale młoda panna, która bądź co bądź bardziej jeszcze nieugięta jest od niego.

- A to karcer - rzekł uprzejmie pan nadzorca, kiedyśmy się znaleźli w końcu korytarza.

Otworzył drzwi i ciemność, w jakiej znajdowaliśmy się poprzednio, nagle zgęstła. Puszczono dopiero nieco światła z "numeru" i wtedy zobaczyłam izdebkę, której szczupłość odgadywać się dawała po stęchłym powietrzu raczej, gdyż ściany ginęły w mroku. W głębi tej izdebki poruszyło się coś za naszym wejściem. Była to aresztantka odsiadująca ciemną.

Dowiedziawszy się, że skazana jest tylko na trzy dni (nie bierzcie proszę tego tylko za ironię), ośmieliłam się prosić pana dozorcę o uwolnienie jej. Gdy wyszła na próg, ja i ona zadziwiłyśmy się głośno, była to bowiem ta sama Pudłowska, którą już w Serbii odwiedzałam w ciemnej. Stała zrazu chwilę, jakby uderzona jakąś myślą, potem spróbowała się uśmiechnąć, wreszcie zaczęła płakać i powlokła się do swojej roboty. Od czasu, jakem ją poznała, nie wychodzi prawie z więzienia, przenosząc się kolejno spod "numeru" w "pobyt" i z "pobytu" pod "numer"

Na tym samym piętrze jest warsztat klejenia pudełek. Warsztat ten zatrudnia przeszło dwadzieścia kobiet młodszych i starszych, a obstalunków dostarcza fabryka zapalek Bienkowskiego. Robota idzie szybko i składnie, a magazyn oboczny posiada znaczne zapasy już zapakowanych i schnących dopiero pudełek. Robotnica bierze od tysiąca sztuk czterdzieści groszy. Połowa tego idzie "na wydział", a połowa do książki -jak w Serbii.

Na pierwszym piętrze mieści się pracownia robót dżetowych. Jest to obszerna izba o dwóch długich stołach, przy których pracuje dwadzieścia dwie kobiety pod okiem uczącej je specjalistki. Przed każdą robotnicą rozpostarty arkusz bibuły, a na nim kupki drobniejszego i grubszego dżetu, drut, nici. Z tej to pracowni wylatują te czarne, błyszczące motyle, którymi piękne panie lubią przystrajać kapelusiki swoje; tu się wykańczają klamry, fantazyjne siatki dżetowe, piórka itd. Po dwumiesięcznym terminie bezpłatnej pracy, który zarazem jest terminem nauki, robotnice wynagradzane są w miarę uzdolnienia od dziesięciu do dwudziestu kopiejek dziennie.

Weszliśmy na drugie piętro, gdzie nas spostrzegła druga z dozorczyń, i poprowadziła do przedzalni.

Z trzydzieści chyba kobiet jest w niej zaznajomionych przedzeniem na wrzecionach lnu i konopi oraz kręceniem nici. Wszystkie już starsze wiekiem, pomiędzy nimi dwie wieśniaczki.

O kilka drzwi dalej szwalnia, którą trzyma na siebie prywatna przedsiębiorczym, a zarazem nauczycielka szycia bielizny i haftu.

Na pierwszy rzut oka spostrzegłam tu Walerię War. Postarzała, żółkła, z przewiązanym chustką czołem, miała nos jeszcze dłuższy niż dawniej i jeszcze ostrzej świdrujące oczy. Podeszłam do niej prosto. Przyjęła to całkiem obojętnie.

- Gdzie Helena? - zapytałam z cicha.

- Na wolności...

- Cóż, pracuje?

- I... nie. Pracować, to ona nie pracuje, my już tam nie do tego.

- Coś przecie robi?

- At, zarabia trudem.

Wiedziałam już, co to za zarobki, więc bliżej się nie rozpytywałam.

W szwalni tej robotnicom wolno się ubierać w kaftaniki białe, przez wzgląd na delikatniejszą ich robotę, która musi być wykonywana czysto. Przeszło trzydzieści pracuje ich tam w jednej obszernej izbie. Hafty nie są świetne, ale znaczenie bielizny i samo szycie bardzo dobre.

Rozejrzawszy się po szwalni, spostrzegłam kilka jeszcze starych znajomych z Serbii. Niektóre z nich okazywały wiele radości, inne trochę wstydu.

Pod oknem świeżo wypuszczona Pudłoska kończyła stłumionym, syczącym głosem klótnię, za którą siedziała przed kwadransem w ciemnej. Przeciwniczka jej zdawała się być zgnębiona niespodzianym obrotem sprawy. Szło im o chodzącego w podwórku szyldwacha, którego długi, ruchomy cień rzucał się na kraty otwartego okna.

Karność, praktykowana przy ulicy Złotej, dwojako oddziaływa na uwięzione. Jedne z nich zapadają niemal w apatię, graniczącą z idiotyzmem, drugie podlegają zwodniczemu podnieceniu nerwów. U tych ostatnich rysy twarzy są jakby naprężone, oczy posępnych błysków pełne, ruchy niecierpliwe, nagłe, głos ostry, twardy.

Spokoju, jakim się odznaczała Kazarynowa, nie widziałam tu na żadnej twarzy. Najbystrzejsze i względnie najpogodniejsze, najbardziej inteligentne fizjognomie mają Żydówki. Jest ich tu spory procent. Cała jedna izba jest im oddana wyłącznie, reszta mieści się wspólnie z innymi.

Najtragiczniejszą grupą na Złotej są tak zwane "posielanki" i te, które do ciężkich robót idą. Wysłano już znaczną partię, coś parę tygodni temu, a teraz znów ich tu do trzydziestu. Nie wszystkie jednak czują nieszczęście swoje. Są też biedne, niepoczytalne istoty, które raczej należałoby leczyć, niżli karać. Do tych należy Agda. Pamiętasz zapewne, czytelniczko, sprawę tej młodej podpalaczki i zabójczyni, o której rozpisywały się dzienniki nasze. Patrząc na to śliczne dziewczę, nigdy byś nie przypuściła, że w niej coś zbrodniczego być może. Średniego wzrostu, składna brunetka, biała i kwitnąca jak róża, dziwnie wyglądała w dużym, więziennym czepcu, spod którego błyszczały jej oczy jasne i uśmiech dziecięcy.

Zaledwie podeszłam ku niej, kiedy skubiąc w rękę trzymaną robotę, z miną jaką miewają czasem pensjonarki, rzekła cichym i słodkim głosem: "To macocha... wszystko macocha..."

- W Sybir idziesz, dziewczyno! - rzekłam, chcąc ją rozbudzić nieco.

- W Sybir idę... - powtórzyła jak echo, przy czym uśmiech nie zszedł ani na chwilę z jej pełnych ust rumianych.

Skazana na lat szesnaście.

Patrzałam jeszcze na nią, kiedy mnie z głośnym płaczem chwyciła za nogi stara jakaś, wyschła kobieta, na której brunatnej, głęboko obnażonej szyi występowały żyły jak postronki. Chciałam ją podnieść, ale ręce jej trzymały się mnie jak kleszcze.

- Oj! ratujcie mnie, ludzie, ratujcie!... Oj, pani moja złota, zmiłuj się nade mną, sierotą... Jak Bóg żyjący na niebie, nie na syna była ta trucizna, ino na szczura była... Syn mnie zgubił, pani moja droga, pies nie syn! Od małości pies był!... Adyc tu przychodził, adyc go tu ludzie widzieli, adyciem go tu za nogi obejmowała, żeby mnie nie gubił... A bodajże on jasności boskiej nie oglądał!... Oj, zgubił mnie, poganin, syn, bił mnie do śmierci!... Kat nie syn! Jęczała i głową o deski tłukła, chwytając się rzeczy moich nieprzytomnie, jak tonący. Ledwo się wydarłam tej okropnej matce. Skazana na całe życie na Sybir. Z boku tymczasem chlipała, krygując się, szpetna jakaś baba, z wielką, jak pająk włochatą brodawką na górnej wardze.

- Jak Bożę kocham, wielmożny panie - mówiła do nadzorcy, strojąc dziwne miny - żebym tak zdrowa była, jak mu nic nie jest. Żeby choć oślepl, toby człowiekowi nie żal było przynajmniej, wielmożny panie. A teraz chłopu nic, a ja na taki los popadłam. Powiada wielmożny sąd, że był kwas... Abo ja wiem czy kwas? Kiedy nie

oślepl, to może i nie kwas był. Jak Bożię Kocham...

Stara ta baba skazana była na sześć lat na Sybir za wypalenie kwasem siarczanym oczu swemu kochankowi.

Tuż pod oknem stała bardzo blada kobieta, która się wpatrywała we mnie natężonym wzrokiem i której dłonie złożone pod piersiami trzęsły się coraz bardziej. Ta nie przemówiła ani słówka, tylko oczy jej nabierały wyrazu coraz większego przerażenia i usta otwierały się od chwili do chwili - bez głosu.

Za morderstwo skazana do robót ciężkich, w drodze łaski, z powodu słabego zdrowia, na więzienie dożywotnie. Nic nie mówi, chowa się zawsze w kąty, cała się trzęsie, słuchając jęków skazanych na zesłanie.

Sześć czy ośm spomiędzy nich karmią niemowlęta. Dzieci te blade, przejrzyste nieledwie, jedne śpią jakimś snem niezdrowym przy piersiach matek, drugie szeroko otwierają zadziwione oczy, i słuchając tych wszystkich jęków, same zaczynają płakać. Zbliżyłam się, aby uspokoić jedno z tych małych. Matka miała twarz martwą jakby i śniadszą jeszcze od śniadej odzieży więziennej. Na dziecku także już odcień tej śniadości był widny. Kiedym je wzięła za chudą rączynę - matka wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Skazana na sześć lat na Sybir za podpalenie. Co się stanie z jej dzieckiem? Co się stanie z tymi wszystkimi dziećmi?

V

Pomiędzy więzieniem na Złotej a Sybirem stoi - pośredni etap - arsenał.

Arsenał jest to gmach posepny, ciężki, którego mury przesiąknięte chroniczną wilgocią, podziurawione są opatrzonymi mocną kratą oknami w półkole. Pomimo wszystko, co dla zamaskowania tych murów zrobił p. nadzorca, człowiek obdarzony niezwykłym zmysłem organizacji i wielki miłośnik ogrodnictwa, pomimo całą tę działalność, jaką tu rozrzucił, mury te nie straciły na zewnątrz nic ze swojej ponurej grozy. Jest to prawdziwe więzienie, "warownia", jak tu nazywają niektórzy; a ciężka brama, jaka się do niego otwiera, wydaje zgrzyt przeciągły, do ludzkiego jęku podobny. Podwórce wewnętrzne wygląda jak piękny ogródek, z fontanną, klombami kwiatów, trawnikami, wśród których wznoszą się dawniej sadzone drzewa. Wprost wejścia jest piękna stylowa brama kamienna z czasów Batorego, która niegdyś zamykała lazaret wojskowy.

Bardzo szerokie schody prowadzą na obszerne jasne korytarze, które umiano obecnie dosyć przewiewnymi uczynić. Wzdłuż korytarzy kilkadziesiąt warsztatów tkackich ustawionych jest pod ścianą, jeden za drugim, a każdy z głuchym łomotem podnosi i spuszcza swoje ramy, przesuwa czółenko, co wszystko razem tworzy jednostajny, rytmiczny odgłos, podobny do pochodu olbrzymiego wahadła w jakimś tajemniczym zegarze. Słuchając tego odgłosu, żywo przypomniałam sobie ów wiersz Heinego, gdzie każda strofa kończy się słowami:

Wir weben - wir weben...

Ci tkacze posepni także tkają całun dla cząstki ogólnego życia...

Pod przeciwległą ścianą siedzą rzędem na niskich ławach bladzi bardzo, różnego wieku mężczyźni, a przed każdym kądziel lnu albo konopi, a każdy snuje swoją nić szarą... Kółka warczą, jak drażniony brytan, szpulka chwyta nić i nawija nieskończone pasmo, nogi uderzają w takt niecierpliwym lub wpółsensnym ruchem. To więźniowie przędą. W błędzie jest ten, kto sądzi, że to wygląda komicznie i przypomina „Osiek” Fredrowskiej komedii. Zaręczyć mogę, że żaden uśmiech nie przychodzi na usta wobec tych znędziałych twarzy, więziennych kapot i głów pogolonych. Czujesz, że oddychasz wszędzie nieszczęściem. Wyznać tu muszę, iż mi było przykro bardzo przechodzić tak obojętnie przed szeregiem tych nędzarzy i

patrzeć na nich, jak na dziwowisko, które ciekawość budzi. Zauważyłam nawet, że wielu nie podnosi oczu i schyla się nad swoją kądzielą... Inni patrzą z wyrazem cierpienia w oczach. Usiadłam na chwilę przy jednym z tych ostatnich, na wolnym brzeżku ławy, i chciałam do niego przemówić, kiedy strażnik chwycił go za ramię i podniósł na równe nogi. To odjęło mi ochotę do rozmowy, a na twarzy więźnia wywołało nagłą czerwoność, ale regulaminowi stało się zadosyć. Więzień poznał prawidłó grzeczności. Charakterystycznym jest, że podczas kiedy twarze uwięzionych kobiet są - z małymi wyjątkami - głupowate, owcze, że tak rzekę, wyraz oblicza uwięzionych mężczyzn jest - także ogólnie biorąc - jakiś dziki, bolesny, wyteżony, a nierzadko strachem przejmuje. Zdawałoby się, że utrata swobody ruchu i samodzielności musi być większą karą dla mężczyzn, których życia istotę stanowi, niżli dla kobiet, które się i na wolności łatwiej bez nich obchodzą.

Tkactwo i przedzenie zatrudnia przeszło dwustu więźniów - przedtem jest jeszcze warsztat stolarski, gdzie się wyrabiają bardzo piękne rzeczy; tokarnia, warsztat krawiecki, szewski i bednarski. Te trzy ostatnie zaopatrują tylko potrzeby więzienne. Nie wszyscy przecież więźniowie znajdują w warsztatach zatrudnienie. Po kilku, po kilkunastu nawet, siedzi beczynnie w izbach sypialnych - czasowo wzywani tylko, do robót takich, jak szorowanie izb, pranie, kopanie, itp. Pan nadzorca ma zamiar rozprześcić warsztaty arsenału i wszystkim uwięzionym dać dobrodziejstwo pracy. Niechby chociaż na wrzecionach przędli, jeśli kółek ustawić gdzie nie ma. Pobieźnie tylko oglądałam tym razem arsenał. Bywałam tu niegdyś, kiedy więzienie to miało swój oddział kobiecy, a z owych czasów pozostały mi wspomnienia nader przykre, gdyż nigdzie nie spotkałam tyle, co tu, rozzwierżenia w kobietach. Tutaj to siedziała wówczas ta sławna Zabór., która otruła kochanka swego i rywalizującą z nią o względy jego macochę; której nabrzmiała i trędownata twarz była ohydną maską zeszeconą przez zażywanie arszeniku. To była komediantka wytrawna, mająca na zawołanie łzy, skrucę, szczerłość, wszystko, co wzruszyć i rozbroić może. Ona to pisała w swoim czasie ów list do arcybiskupa, prosząc o spowiedź, jawną i publiczną pokutę, co nie przeszkadzało jej bynajmniej wymyślać najohydniejsze przestępstwa i przechwalać się z ich spełnienia. Ona to umiała utaić przy sobie w więzieniu taką ilość arszeniku, z którego spożywania zrobiła sobie rodzaj sportu, że kiedy była bliską śmierci, skutkiem tych nadużyć właśnie, i oddała osobie zaufanej resztę swoich zapasów, lekarz ocenił, iż wystarczyłoby jeszcze tego dobrego na otrucie trzydziestu ludzi.

Topiąca się - i wyratowana, powieszona i odcięta - snuła się tam jak widmo złowróźbne, nienawidzona przez wszystkich. Pomimo to jej fantazja twórcza nie spoczywała ani na chwilę. Upajała się atmosferą wymyślonych zbrodni, tak jak pijak upaja się wódką. Pozowanie na bohaterkę scen najsromotniejszych zaspokajało ledwo w części jej żądzę złego. Nie przez to cierpiała w więzieniu, że jest karana, ale przez to, że nie może znaleźć nic godnego siebie. Był to subiekt niezmiernie dla psychologa ciekawy. Kiedy ją z arsenału przeniesiono do Serbii, straciła wiele na fantazji. Nie była to już warownia, brakło tu sklepionych korytarzy, odgłosów i zmierzchów tajemniczych, które tam nastrajały ją i pobudzały.

To ją tylko pocieszało, że znalazła tu świeże audytorium dla tego demonicznego dramatu, którego sceny rozgrywały się w jej rozpalonym mózgu. Widziałam ją raz jeszcze na Złotej, w samych początkach istnienia tam kobiecego oddziału, opuchniętą od swego arszeniku, bez kropli krwi w strasznej, zagasłej twarzy,

umierającą niemal. Wyzdrowiała jednak, a ja straciłam ją z oczu.

W jednej przecież izbie arsenału zatrzymałam się i teraz dłużej, a mianowicie w tak zwanej „Szkole”. Jest to szkoła małoletnich przestępców, którzy bądź z powodu jakiegoś defektu organicznego, bądź innych uwzględniających się przez zarząd przyczyn, nie mogą być pomieszczeni w Studzieńcu.

Zorganizowanie, stworzenie pod tym względem szkoły i - przykładu innym więzieniom, to piękna karta z życia p. J. Maternickiego, któremu zawdzięcza początek swój i szczęśliwy rozwój.

On to, objawszy przed trzydziestu laty nadzór kieleckiego więzienia, zastał tam szesnastu uwięzionych chłopców, którzy po dwóch, po trzech rozrzucony byli po izbach między dorosłymi przestępcami. Jakiego zepsucia było to źródłem - łatwiej sobie wyobrazić, niżli opowiedzieć. - Otóż wygarnął on ten drobiazg, zamknął osobno, uprosił kapelana o lekcje religii dla nich, sam na siebie wziął godziny matematyki, sekretarza swego posadził do lekcji geografii, malcom dał w rękę książkę, zaopatrzył ich w papier i pióra - i tak więzienie tych dzieci zmieniło się w szkołę. Władza mile przyjęła tę nowość; z czasem wyznaczono etat dla stałego nauczyciela, a wszystkim więzieniom w kraju polecono iść za przykładem kieleckiej szkółki. Upłynęły lata od owego czasu, a dobre dzieło rozwinęło się i przyniosło owoce. Jedna to z najpiękniejszych zasług, jakie człowiek, na tym stanowisku stojący, położyć może względem społeczeństwa swego. Gdyby tak coś podobnego w więzieniach kobiet...

Pod względem stosowania praw karnych trzy lata Osad Rolnych odpowiada sześciu tygodniom zamknięcia w więzieniu. Małoletnim jest przestępca do lat piętnastu włącznie, po czym podlega prawom ogólnym. Sześciu chłopców było wtedy w arsenał; najstarszy miał lat czternaście, najmłodszy z jedenaście może. Szkoła jednak, która jest zarazem ich sypialnią, mieści dwadzieścia łóżek, gdyż do tej cyfry dochodzi nieraz liczba małych przestępców. Nauczyciel przychodzi do nich z miasta na parę godzin dziennie. Stary, przyzwoitej powierzchowności człowiek, także więzień, ma nad nimi bliższy nadzór. Smutne bardzo wrażenie robiła siwizna i to dzieciństwo zrównane wobec więziennej kapoty...

- I za cóż ty siedzisz, biedaku? - spytałam najmłodszego z chłopców, który wtulił ogoloną głowinę pomiędzy ramiona, podczas kiedy ręce jego ginęły w zbyt długich rękawach siwego kubraka.

- Ano - odrzekł cienkim głosikiem - za te węgle...

- Jakże to było?

- Ano, matka mi kazała po węgle iść, było zimno, ja też poszedł. Tak ja przelazłem bez płot, tak matka stała na ulicy - tak ja rzucałem matce węgle... A tam był pies, takie wielkie psisko... Jak wziął czekać, jak wziął ujadać, tak mnie i złapali.

- A matka?

- Ano, matka poszła do dom.

- I cóż dalej?

- Ano, tak mię wzięli.

- Czemużeś nie powiedział tak wszystkiego przed sądem, jak mnie ty mówisz?

- Ale... powiedziałem. Ino, że mi zaraz dali w kark, że niby łzę; i przyświadczyli, że ja sam kradł, i kuma Jędrzejowa też przyświadczyli, i stróżka...

Zamilkł i westchnął ciężko, głębiej jeszcze wtulając głowę między ramiona.

- I dobrze ci tu jest?

- Dobrze - odrzekł i znów westchnął, aż się więzienna gunia pod- niosła na jego

szczupłej, dziecięcej piersi.

O prawo! jakie ty winy karzesz!

Najstarszy był Żydek. Szczupły, czarnooki, trzymał w ręku książkę z wyobrażeniem jakiegoś przedpotopowego mastodonta, ale oczyma bystro rzucał na wszystkie strony, jakby szukając szpary, przez którą by mógł czmychnąć.

Z pozostałych zwrócił jeszcze moją uwagę blady, mocno piegowaty, rudy chłopak, dość tęgiej budowy, którego szare, małe oczki migotały pod żółtymi rzęsami. Był to typ prawdziwego "andrusa". Co słowo powiedział, to się w piersi tłukł ściśniętą pięścią, dodając za każdym razem: "jak Boga kocham, proszę wielmożnego pana". Był to dezerterski z Osad, złapany na ponownym przestępstwie.

Zbyt długo jednak może zatrzymuję cię, czytelniczko, w arsenale, gdzie, jak widzisz, kobiet nie ma. Bywają jednak! Ale dzień, w którym bywają, jest dniem płaczu i zgrzytania zębów...

Kiedy już termin zsyłki oznaczonym został i partia zebrana, odprowadzają aresztantki do arsenału, strzygą im włosy, dają po dwie koszule skarbowe i grubą więzienną odzież, po czym wraz z partią odstawiają pod strażą na tak zwany punkt zborny, na Pragę.

Do partii przyłączają się kobiety, które chcą towarzyszyć mężom na Sybir. Te, jeśli drogę chcą odbyć na koszt rządu, podlegają całemu regulaminowi, jaki ustanowiony jest dla aresztantek. Tak samo strzygą im włosy, nakładają białe czepce, z szeroką, na czoło opadającą szlarką, dają płytke obuwie, więzienną siwą spódnicę i kaftan, biały fartuch i białą perkalową krzyżówkę na piersi. Tylko odbywające drogę na koszt własny wolne są od tego skarbowego umundurowania.

Zdarza się, iż aresztantka, której miłego czeka zsyłka, porozumiewa się z nim, podaje prośbę - zawsze uwzględnioną - dostaje ślub i idzie na Sybir.

Przy każdej niemal partii znajdują się ochotnice takie. Kto na koszt skarbu podróż odbywa, nie może z sobą zabierać żadnych własnych pakunków większych, pościeli itd. Wszystko musi pomieścić w niewielkim węzélku, który się przez plecy zawiesza; a jeśli dziecko jest, w ręku się je trzyma. Parę lat już minęło, jakem widziała partię taką, a dotąd mam ją przed oczyma.

Piąta może była rano, kiedym stanęła na Pradze, w gmachu, który nazywają punktem zbornym, a który mnie się wydał czymś w rodzaju wojskowego biura w połączeniu z koszarami. Przyprawiono właśnie więźniów; oficer odbierający partię liczył ich i załatwiał formalności wstępne.

Kilka kobiet z miasta oczekiwało wraz ze mną w wielkiej sali, gdzie na ławach kamiennych, wpuszczonych w głębokie framugi okienne, a przypominających kanonickie stalle, siedziało kilkunastu żołnierzy, zajętych pisaniem i czytaniem. Młody jeden żołdat przechadzał się, gwizdząc wesoło i spluwając przez zęby, to na prawą, to na lewą stronę.

- Wy nic nie robicie? - zahazardowałam nieśmiało pytanie.

- A co robić? - odparł mi na to. - Teraz wolna etaka godzina.

- A cóż drudzy robią? - rzekłam dalej.

- Listy piszą do domu i do rodziny.

- A wy rodziny nie macie?

- I u mnie jest rodzina. Matka jest, siostry...

- A skąd wy?

- Z daleka.

- To pewno i matka, i siostry czekają na stówko jakie od was.

Młody żołdat za całą odpowiedź zaczął mocniej jeszcze gwizdać. Po chwili wszakże

przystanął u okna i popatrzył na nie, podszedł w jeden kąt, potem w drugi, nareszcie czołem się o piec wsparł i zaczął mocno ucierać nos palcami, a oczy rękawem. O gwizdaniu i spluwaniu nie było już mowy.

Wtem rozległ się dźwięczny odgłos młota, uderzającego o żelazo. Próbowano kajdany, czy dobrze zakute.

W więzieniach teraz nie nakładają kajdan nikomu, chyba w charakterze czasowej kary tym, którzy usiłowali uciec. Po izbach i korytarzach nie rozlegają się już te przewlekłe brzęki, w których wprawne ucho z daleka rozróżnić umiało gatunek i wagę kajdan. Kiedy żelazo wlokło się z głuchym łoskotem, mówiono: "warowny" idzie. Były to kajdany ważące ośm do dziesięciu funtów. Charakterystyczny brzęk, jakby okutego wozu, wydawał idąc "ciężki", którego kajdany miały od czterech do ośmiu funtów. Zwyczajne wreszcie kajdany od dwu do czterech funtów, nakładane lżejszym przestępcom, dzwoniły jak sygnaturki w porównaniu do owych potężnych, jak wielki dzwon rozlegających się brzęków. Wtedy to i kobiety nosiły żelazo.

Teraz kują tylko przed samą zsyłką partię mężczyzn, każdego na obiedwie nogi, i po dwóch za ręce! Kobiety wolne są od kajdan zupełnie. Wyprowadzono ich wreszcie. Mężczyzn było ze trzydziestu i cztery kobiety. Gromadka ta uformowała prostokąt i stanęła na placu otoczonym drzewami. Za nią wytoczył się wóz, na którym złożono węzłki; na węzłkach siedziała jedna z kobiet, wycieńczona widocznie, tudzież młody jeszcze Żydek, kiwający się rozpaczliwie w tył i naprzód; za wozem oddział żołnierzy, których karabiny oślepiająco błyskały w słońcu bagnetami.

Właśnie uderzył dzwonek na mszę ranną. Mężczyźni odkryli głowy, a kobieta, siedząca na wozie, zaczęła mocno płakać. Większość miała na twarzy jakąś martwość i pogębienie; niektórzy uśmiechali się z desperacką obojętnością na wszystko. Przybyłe z miasta kobiety rzuciły się żegnać, o potrzeby pytać, o zlecenia. Jeden zażądał szkaplerza, drugi tytoniu, jeszcze jeden o listy prosił. Niektórzy nie odpowiadali wcale na pytania. Był i taki, który wieszającą mu się na szyi kobietę odepchnął tak silnie, że potoczyła się o kilka kroków i omal nie padła.

Ośmnastoletni może wyrostek szlochał, stojąc za wszystkimi, jak żuraw na jednej nodze, i poprawiając wstrętne, brudne szmaty, którymi druga owinięta była.

Ponieważ nikt go o nic nie pytał ani go żegnał, podeszłam ku niemu. Prosił, żeby go na wóz zabrano, a prowadzący etap uwzględnił to skromne życzenie.

Zakomenderowano tymczasem. Czterech podoficerów z obnażonymi pałaszami stanęło przy czterech bokach prostokąta, kobiety zaczęły szlochać, i cały pochód ruszył ku kolei. Ulice były jeszcze zupełnie puste; bramy dopiero otwierały się gdzieś, wśród pustki tej brzęk kajdan rozlegał się donośnie. Kobiety z miasta rozproszyły się; każda usiłowała być jak najbliżej swego; straż nie broniła im tej ostatniej pociechy.

Z punktu zbornego do dworca kolei droga dość daleka; nikt przecież nie przemówił i słowa przez cały czas jej trwania, ci nawet, co sobie mieli najwięcej do powiedzenia.

Wróble tylko świergotały wesoło, iż dzień był pogodny.

Stanęliśmy nareszcie u celu.

Natychmiast zaczęto umieszczać więźniów w zakratowanych wagonach, osobno mężczyzn, osobno kobiety, a kiedy otworzono drzwi na peron, u krat tych gęsto błysnęły pogolone głowy i wyciągnięte ręce. Ktoś zakupił kosz chleba, oficer pozwolił go rozdać. Czas upływał, kobiety jedne stały tuż przy wagonach, inne posiadały pod murem i patrzyły na odjeżdżających, tak jak się na umarłych

patrzy. Nareszcie dano sygnał, rozległ się ostry świst lokomotywy, a długi szereg zakratowanych wozów zaczął się poruszać, z wolna zrazu, potem coraz szybciej, aż zniknął w końcu, unosząc skazańców w daleką, dla wielu niepowrotną drogę.